



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Wymowna przestroga.—O wydawaniu przestępców politycznych p. M. — Stara Pompadurowa p. Szczedryna. — Leopolda VI. p. Juniusa. — Lord Beaconsfield III. (dokończenie) p. Z. — Po grudce ziemi (wiersz) p. M. Konopnicka. — Korespondencya: Z Petersburga p. R. — G. Flaubert w życiu prywatnym p. J. B. — Wykłady publiczne p. K. i B. — Malarstwo i rzeźba (dokończenie). — Liberum veto. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

WYMOWNA PRZESTROGA.

Każdy rok niemal zapisuje w swej kronice wypadki zaciekle, często nawet krwawych napaści ciemnych chrześcian na żydów. Wypadki te powtarzają się z taką prawidłowością, że dziwić się należy, dla czego ich, na równi z lunacyami i zaćmieniami słońca, nie oznacza zgóry dokładny kalendarz. Podczas zapust lub świąt wielkanocnych można być pewnym, że telegraf przyniesie z Cesarstwa co najmniej wiadomość o połamanych izraelitom żebrach i nabitych guzach. W tym roku kilka dni już przed rosyjskimi świętami biegały niepokojące wieści o zamierzonych napadach na żydów; potwierdzenie wszakże tych wieści nie przybyło stąd, skąd były zapowiadane — z zachodu, lecz z południa. Głównym polem rozkiełznanej hulanki dzikich instynktów stał się Elizabetgrad w guberni Chersońskiej. Na ten raz wyznawcy stóckerowskich haseł, których w Rosyi nie brak, skarżyć się chyba nie mogą — z posiewu swego zebrali plon dość obfity. Dnia 27 kwietnia ludność elizabetgradzka, zasiłona wkrótce przybyciem chłopów z sąsiednich wiosek, rozpoczęła bójkę z żydami, która rosnąc szybko, zamieniła się na krwawą rozprawę, trwającą przez dni kilka. Zaledwie miejscowe i sprowadzone wojska zdołały uśmierzyć zjadłość tłumu i przerwać jego rabunek. Wypędzeni z miasta chłopcy zaczęli rozbijać po wsiach. Spustoszenie w Elizabetgradzie — jak opisuje *Głos* — straszne. Ulice pokryte pierzem podartej pościeli, jak śniegiem, zawałone odłamami mebli, murów i drzewa. Wiele domów uszkodzonych; z niektórych pozostały tylko ściany i dachy. Sklepy żydowskie, cukiernia, fabryka octu — zburzone.

W składach napojów spiritualnych beczki porozbijane, piwnice zalane wódką. Przeszło dwieście osób okaleczonych — jeden żyd zabity.

Są ludzie, są publicyści, którzy w zabiciu tego jednego tylko żyda czerpią pociechę i ludzą siebie lub innych upewnieniem, że niewielki grad padał, skoro jedną zaledwie makówkę strącił. Na nieszczęście, moralną miarą tego faktu nie jest ilość strąconych makówek, ale wielkość gradu. Dla nas liczba ofiar jest rzeczą drugorzędą, główną sama siła wybuchu, nad którą zarówno władze, jak i dzienniki poważnie zastanowić się winny.

Od chwili ostatniego społeczno-politycznego wrzenia w Rosyi słyszymy ciągle nawoływania do cofnięcia się wstecz, tak daleko, że niektórzy lekarze publicystyczni gotowi są furmanic ruchowi w tym kierunku aż po za reformy Piotra W., gotowi stłuc i deską zabić to okienko, które on swemu narodowi otworzył do Europy. Wobec wypadków elizabetgradzkich, wobec wielu podobnych objawów, zapytać wolno, czy reakcja taka jest możliwa? Czy może cofać się społeczeństwo, w którym o zbitą w karczmie szklanek wybuchu niszczącym płomieniem walka wyznaniowo-rasowa, dająca się ugasić zaledwie siłą zbrojną? Pojmujemy reakcję w Niemczech, Anglii, Francyi, w krajach, które szybkim postępem wybiegły daleko naprzód i zmęczone, strwożone lub powstrzymane cofają się wstecz; ale w Rosyi, której niższe klasy zaledwie weszły na drogę cywilizacji europejskiej, bez chęci opuszczenia tej drogi o reakcyi mówić niepodobna. Bo i jakie opuszczać tu zbyt wysunięte stanowiska? Czy ryzykowne krańce rosyjskich filozofów, ekonomistów i pedagogów; czy odbiegać od swobodnych instytucyj państwowych; czy ograniczać prawa jednostek; czy gasić światła wychowania ludowego — co

robić dla cofnięcia się, tam gdzie lud jeszcze jest tak ciemny? Zaiste, jeśli Aksakow i Katkow, jeśli ci przywódcy wstępnego ruchu są zaswe słowa i czyny odpowiedzialni, lekomyślnie igrają z reakcyjnym hasłem, którego niedorzeczność i niegodziwość życie natychmiast ilustruje tak jaskrawo. Nawoływać do cofania się aż po za epokę piotrowską w chwili, gdy lud w Elizabetgradzie czci święta rozbijaniem żydów, doprawdy na to potrzeba szalonego obłądu, lubującego się w nieludzkich widziadłach. Rosya nazywa nihilizm rewolucyjny chorobą i pragnie go wszelkimi środkami wyleczyć; zbyt mało ona jednak zwraca uwagi na nihilizm innego rodzaju, na te coraz szerzej i coraz bezczelniej rozpierające się żywioły zagłady pierwiastków inorodnych. Bądź nieświadome popędy w masach ciemnych, bądź świadome zasady w warstwach oświeconych, zadawalniające się gwałtem i zniszczeniem — oto są objawy, których przyczyny państwo usunąć winno, gdziekolwiek je spotka. Przedewszystkiem zaś owe warstwy oświeczone winny porachować się z własnym sumieniem, czy niższym nie dają gorszącego przykładu do tych samych czynów, których ono tak uroczyście się wypiera? Jeżeli jakaś petersburska gazeta podszezuwa na polaków, dla czegoż ciemny lud elizabetgradzki nie ma uczuć chęci wytepienia żydów? Niech publicystyczni korsarze zastanowią się, na jakich strunach narodu grają, a może w dzikim okrzyku rozpasanego tłumu dosłyszają swą własną nutę.

Sprawa żydowska, która ciągle się zagnia a tak często zakrwawia, ma nadto w Rosyi inne przyczyny nieustannego jątrzenia się, tkwiące w prawach wyjątkowych. Niewątpliwie i tu, jak wszędzie, różnice wyznaniowe i plemienne zaostrażają stosunek obu stron, których nieprzyjaźni nie zażegna żaden moral, najwymowniejsze

kazanie na temat miłości bliźniego. Łagodzić jednak te wrogię usposobienia można i trzeba, a można i trzeba tylko przez usunięcie różnic w warunkach życia odmiennych żywiołów społecznych. Pomijamy kwestję sprawiedliwości i niesprawiedliwości, zapytamy jedynie: czy prosty chłop rosyjski, nie widząc żydów na stanowiskach przez niego szanowanych a widząc na znienawidzonych, może ich uważać za współobywateli, za istoty obdarzone równą mu racją bytu? Czy chłop rosyjski może nie rozgrzeszać się w postępowaniu względem żyda, względem tego upośledzonego paryasa, któremu nawet w stolicach przebywać nie wolno? Jakto, elizabetgradczyk będzie sobie robił ceremonie z takim niewiernym, wypędzanym z Petersburga i Moskwy? Bo czyż żyd bywa sędzią, urzędnikiem administracyjnym, czy korzysta z przyznanej innym swobody? Nie, — jest on, jeżeli nie prawnie, to faktycznie z wielu przywilejów wydziedziczony. Lud ciemny, widząc go upośledzonym, naprzód sam go upośledza, a potem — gdy zdarzy się sposobność i ochota — rozbija. Jeżeli już chłopska czupryna walczy z pejsami, nos prosty z garbatym, mowa słowiańska z niemieckim szwargotem, Bóg nowy ze starym, jeżeli tyle różnic naturalnych wytwarza niezgodę, to cóż dopiero mówić, gdy do nich dołączy się różnica praw społecznych! To też kilka batalionów wojska uśmierzy rozbójników, ale nie uśmierzy rozboju, który, przytłumiony w Elizabetgradzie podczas jednych świąt, wybuchnie gdzieindziej podczas drugich. Skutecznie zatamować te wybuchy może przedewszystkiem zupełne i rzeczywiste równouprawnienie żydów, zdejmujące z nich piętno hańby w oczach ludu. Reszty dokonania oświata jego, ta oświata, w której spoczywa takie lub inne rozwiązanie zagadki przyszłych losów Rosyi. Do uprawy tego nietkniętego jeszcze pługiem cywilizacji stepu rzucić się powinni krzykacze, pragnący zwrócić wstecz koła społecznego

rydwanu, który ugrzązłszy w bagnie, nie może zdźwignąć się naprzód i wyjechać na bezpieczną drogę. Wypadki takie, jak elizabetgradzki, są dla odurzonych własnym kołowrotem derwiszów prasy rosyjskiej wymowną przestrogą, jak zgubnym jest kierunek, w którym ciemną masę za sobą porwać usiłują.

Wypadek ów winien być wskazówką i dla drugiej strony — dla samych żydów. Przekonywa ich bowiem, że dawnego azyatyckiego gruntu pod nogami swymi utrzymać nie zdołają, że warunkiem ich bezpieczeństwa jest wyzwolenie się z odrębności, rozłamanie palestyńskiej obłęczy, zamykającej ich życie i przyswojenie sobie typu cywilizacji nowszej. Daremnie, trzeba umrzeć żydem, chcąc żyć europejczykiem. W przeciwnym razie, można szynkując wódkę lub handlując perkalem wypchać sakiewkę, ale nie można być nigdy pewnym, czy jutro wzburzony tłum nie rzuci się wściekle i nie zniszczy owoców długoletnich zabiegów. A tak dobrze stosuje się do Elizabetgradu i Mikołajewa, jak do Kalisza i Raciaża. Dla Cesarstwa w daleko większym stopniu, ale i dla Królestwa także oświata ludu, oświata przymusowa powinna być dziś głównym celem wszystkich usiłowań, głównym źródłem odrodzenia i wzmocnienia. Ostateczne, sumienne i gruntowne załatwienie tej sprawy rozwiąże mnóstwo kwestyj szczegółowych, nad których rostrzygnięciem daremnie dziś się biedzimy.

Smutną jest ciemnota ludu, ale smutniejszym to, że wołanie o światło brzmi dotąd jak głos na puszczy.

O WYDAWANIU PRZESTĘPCÓW POLITYCZNYCH.

(Instytut prawa międzynarodowego.)

Wiecznie słuszną pozostanie uwaga, że naród wtedy dopiero poznaje swoje organa, gdy one go zabolą. Po wstrząśnieniach socjalistycznych we Francyi, Niemczech,

a obecnie Rosyi, rządy, społeczeństwa, dzienniki ze szczególną troskliwością badają cierpiące, zranione miejsca organizmów państwowych. Nad tem wyzwaniem, które socjalizm rzucił Europie, rozmyśla ona bez wytchnienia. W długiej i zapamiętałej walce żywiołów rewolucyjnych z zachowawczymi katastrofą z 13 marca była chwila największej grozy; nie też dziwnego, że poruszyła ona ze spotęgowaną siłą i na szerokiej przestrzeni powiązane z nią zagadnienia ogólnej natury a przedewszystkiem sprawę bezkarnego chronienia politycznych przestępców w państwach europejskich. Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy*, Rosya wystąpiła z propozycją ściślejszego określenia i obostrzenia tego przywileju. Zależnie od wewnętrznego ustroju lub zewnętrznych interesów rządu i ludu zapytanych mocarstw odpowiedziały rozmaicie. Największe poparcie okazały Niemcy, których sejm wystąpił nawet do kanclerza z odpowiednim wnioskiem. Zanim myśl rządu rosyjskiego przedystyluje się przez alembiki gabinetów europejskich, opinia publiczna naradza się, rozumuje a wreszcie pyta o zdanie poważnych w tym przedmiocie sądów.

Sądem takim, który już od roku przeszło rozpatruje i rozjaśnia sprawę przytułku (*asylu*) dla przestępców politycznych, jest tak zwany Instytut prawa międzynarodowego (*L'Institut de droit international*) — twór obecnego belgijskiego ministra spraw wewnętrznych, p. Rolin-Jacquemyns, który (w r. 1873) jako adwokat w Genewie i wydawca pisma *Revue de droit international*, pierwszy urzeczywistnił ideę zasłużonego uczonego i obywatela amerykańskiego — prof. Franciszka Liebera w New-Yorku (zm. 1872). W ugruntowaniu tej instytucji obok niego przyjęli udział: znakomity profesor heidelberski Bluntschli, oraz prezydent międzynarodowego towarzystwa pomocy dla rannych w boju (*Czerwonego Krzyża*) Gustaw Moynier z Genewy. Nadto przy redakcyi statutów współpraco-

STARA POMPADUROWA

przez

M. E. Sałtykowa (Szczedryna).

Pompadur przedewszystkiem obdarzył laską radcę dworu Blamanget'a. Potem, zaczął ustawicznie przechadzać się pod oknami domu, w którym mieszkała Nadzieja Piotrówna i śpiewać: *Jeune fille aux yeux noirs*.

Piosnkę tę nucił już to smutnym falsem, już naśladowując dźwięk trąby; przy czem fałszował nielitościwie. Całe miasto spostrzegło to bezsensowe włóczenie się pompadury i z niespokojnością oczekiwało, czem ono się skończy. Nadzieja Piotrówna także przeczuwała coś, a ujrawszy z okna zakochanego pompadurę, śmiała się tym cichym, szczęśliwym śmiechem, jakim śmieją się małe dzieci, gdy im łagodnie polechtamy brzuszki. Nareszcie w sprawie tej przyjęła udział Olga Siemionówna Prochodimcewa...

Prowincya jest dosyć usługną pod tym względem. Gdy spostrzeże, iż pompadur poluje, to zaraz ze wszystkich stron sypią się nań przeróżne łaskawe zdarzenia: bądź

przypadkowe spaceru w ogrodzie zamiejskim, bądź przypadkowe spotkanie w domu jakiegokolwiek gościnnej gospodyni, to znowu wypadkowe zejście się za kulisami podczas dobrego widowiska. Słowem, niema takiej żywej istoty, która nie przyczyniłaby się jakimkolwiek obrzydłym ruchem do powodzenia tego obrzydłego przedsięwzięcia.

Tak było i tutaj. Pompadur spotykał się z Nadzieją Piotrówną u Prochodimcewej, a spotykał się zawsze wypadkowo. Z początku śpiewał ciągle: *Jeune fille aux yeux noirs*, i wyjaśnił, że muzyka tej śpiewki była najulubieńszym marszem w jego pułku. Czasem wprawdzie dla odmiany, zaczynał przeglądać obrazki, leżące na stole i głupio mruczał do siebie pod nosem:

— Niedostępna!

— O kim pan tam szepczesz? — pytała go Nadzieja Piotrówna.

— Niebianka!

O, gdyby miał ogon, zobaczyłaby z pewnością, jak nim kręcił w tej chwili. Jednakże długo nie ulegała wpływowi jego uprzejmości; od czasu do czasu, zdarzało się nawet, że zanucił:

Des chevaliers ainsi m'ont exprimé leur flamme...

A ona mu na to:

Et moi, j'ai refusé l'offre des chevaliers...

I spojrzy nań z takim uśmiechem, że

nagle, jak oparzony, zmienia melodyą i intonuje:

T'en souviens-tu?

— Cóż to pan tak żalobnie? — zapytuje Olga Siemionówna.

— Cóż robić? Ot, Nadziei Piotrówny nie mamy szczęścia się podobać! — odpowiada i tak nadyma usta, że Nadzieja Piotrówna czuje chęć spróbować, jakie by też wydały dźwięki, gdyby je znienacka szturgnąć paluszkami.

Ale, że nikt nie uniknie własnego losu, i dla nich przeto nastąpiła chwila stanowcza.

Pewnego jesienno wieczoru, pompadur przyszedł, jak zwykle, do Prochodimcewej i również jak zwykle, zastał tam Nadzieję Piotrówną. Tym razem nerwy jej były jakos szczególnie wrażliwe.

— *Jeune fille aux yeux noirs! Tu règnes sur mon âme!* — zaśpiewał. Nadzieja Piotrówna wtórowała mu półgłosem:

Et moi, j'ai refusé...

— Ach nie! Ach nie! Nie śpiewaj pan tego, nie waż się pan śpiewać! — jakoś nerwowo zawołała Nadzieja Piotrówna, jak gdyby się chciała rozplakać.

— Pan... ty...

Serca ich zapłonęły.

Wspominała o tem teraz Nadzieja Piotrówna w swej obecnej samotności, wspominała, jak późnie przyjechała do domu, bez żadnego powodu biegła i kręciła się po pokojach, jak Blamanget czołgał się po

wali: słynny prawnik angielski Westlake, francuski senator Parieu, włoski deputowany i były minister sprawiedliwości Mancini, prof. Holtzendorf i in. Instytut prawa międzynarodowego składa się z 50 członków, rozmaitych narodowości, ludzi wsławionych na polu teorii i praktyki oraz z *associés*, posiadających głos doradczy. Siedzibą jego jest miejsce zamieszkania głównego, na lat sześć wybieranego sekretarza — jak obecnie Bruksella; organami zaś dwa pisma: *Revue de droit international et legislation comparée* i *Annuaire de l'Institut de droit international* z godłem: *justitia et pax*. Corocznie odbywają się zjazdy; dotąd w Gandawie, Genewie, Haadze, Zurichu, Paryżu, Brukselli, ostatni w Oksfordzie, a następny w Turynie. Żadnego bezpośredniego wpływu Instytut nie wywiera; zadanie jego polega na rozjaśnianiu zasad prawa międzynarodowego i wszczepianiu ich w przekonania społeczeństw.

Zeszłego roku, jak rzekliśmy, odbyło się zgromadzenie członków w Oksfordzie, na którym właśnie rozbiegano specjalne referaty prof. uniwersytetu genewskiego Brochera, prof. paryskiego Renaulta i Bluntschlego o wydawaniu przestępców politycznych. Katastrofa 13 marca i wywołane przez nią propozycje rządu rosyjskiego dały wnioskom tego poważnego ciała, zwłaszcza sformułowanym przez Bluntschlego, szczególne znaczenie. I gdy dziś są one przedmiotem zastanowienia całej niemal prasy europejskiej, uważamy za stosowne poznać z nimi również czytelników *Prawdy*.

W istnieniu między państwami układów, zobowiązujących je do wydawania przestępców a wreszcie we wzajemnem pomaganiu sobie państw, niezwiązanych takimi układami, widzi Bluntschli podniesienie ogólnego bezpieczeństwa prawnego i poprawę systematu karnego. Z tej reguły jednak winni być wyłączeni przestępcy polityczni. Racyi tego wyłączenia nie widzi on w przypuszczeniu, że wykroczenia osta-

tniego rodzaju są lepsze od innych, lecz wywodzi ją z zasad prawa międzynarodowego. W ściganiu bowiem przestępców politycznych nie istnieje między państwami żadna solidarność. Każde z nich posiada własny ustroj i rząd, musi więc strzedz swojego porządku prawnego i nie potrzebuje zajmować się przestępstwami, obchodzącymi inny rząd i inny ustroj państwowy. Organizacje rozmaitych państw są często bardzo odmiennej natury; tenże sam człowiek, który w jednym jest ścigany jako najniebezpieczniejszy zbrodniarz, w innym uchodziłby za najlojalniejszego obywatela. Żądanie więc wydania takiego człowieka jest nieusprawiedliwionem. Nadto między winnymi często są ludzie nie zli i zepsuci, lecz uczciwi i egzaltowani, niekiedy nawet wzniośli i zacni patrioci. To też państwa nieinteresowane nie chcą w ściganiu winnych pomagać obrażonym, tem bardziej, że rękojmią bezstronności w procesach politycznych jest daleko mniejsza, niż w kryminalnych. Ponieważ zaś państwo udzielające przytułku nie może rozciągnąć kontroli nad prześladowanym, woli zatem wogóle odmawiać wydawania przestępców politycznych. Inaczej przecież rzez się ma, gdy niebezpieczeństwo grozi nie porządkowi pewnego państwa, lecz wszystkich cywilizowanych; wtedy muszą one związać się solidarnością i wzajemnością usług. Wtedy jest obowiązkiem prawa międzynarodowego wspólnie dopomagać do pokonania wspólnego niebezpieczeństwa. Pod tę kategorię pociąga Bluntschli spiski *kommunistyczne* i *niechłopskie*, posiadające charakter międzynarodowy i skierowane przeciwko władzom wszystkich krajów. Chorobę międzynarodową leczyć trzeba środkami międzynarodowymi. Po nici tego rozumowania dochodzi Bluntschli do następujących wniosków:

- 1) Przestępcy polityczni nie powinni być wydawani.
- 2) Państwo, od którego zażądano wydania przestępcy, winno zbadać samodzielnie,

stosownie do okoliczności, czy czyn, który wywołał to żądanie, posiada charakter polityczny, czy też nie.

Badaniu temu przewodniczyć winny następujące zasady: a) Czyny, posiadające wszystkie oznaki przestępstw zwykłych (morderstwo, podpalenie, kradzież), nie mogą uprawniać wyjątku od reguł wydawania dla tego jedynie, że ich sprawcy chcieli przez nie osiągnąć cele polityczne — i

b) W sądzie czynów, spełnionych podczas buntu politycznego, rewolucji lub wojny domowej, zważać trzeba na to, czy zwyczaj wojenny je uniewinnia, czy też nie.

3) W każdym razie wydanie za przestępstwo, posiadające jednocześnie charakter polityczny i kryminalny, nie powinno nastąpić inaczej, jak pod warunkiem zapewnienia ze strony państwa żądającego, że wydany nie będzie stawiony przed żadnym sądem wyjątkowym.

Oto są główne podstawy, jakie w tej sprawie kładzie najpoważniejsza dziś instancja, rozstrzygająca wątpliwości prawa międzynarodowego. Jak widzimy, nie osłania ona opieką tych, którzy dziś w szeregach przestępców politycznych wysunęli się na plan pierwszy — komunistów i nihilistów. Pozorna wszakże jasność reguł Bluntschlego znika przy zastosowaniu ich do faktów bieżących. Czy on nihilistów rosyjskich zalicza do przestępców międzynarodowych, czy też tylko do winnych w zakresie pewnego państwa? co należy do zwyczajów wojny, a co nie należy? na te i tym podobne pytania nie znajdujemy w jego rozumowaniu dostatecznej odpowiedzi. Zresztą, określenie stosunku jego wniosków do nihilistów rosyjskich miałyby dla nas przeważnie znaczenie teoretyczne; nie ulega bowiem wątpliwości, że na los propozycji rządu rosyjskiego w praktyce oddziałają bardzo liczne względy i rachuby, które nie będą się wcale liczyły z opinią Instytutu prawa międzynarodowego.

M. O.

podłódze i całował jej ręce; wspominała... A serce jej napróżno pałało, a po twarzy spływały gorzkie, gorzkie łzy...

— Jaki on jednak był wtedy głupiutki — mówiła: — i jak śmiesznie przewracał oczyma! Jak się starał przypodobać! Jak gdyby ja nie rozumiała, do czego prowadzi te wszystkie manewry!

Od jednego wspomnienia myśl jej pomimowoli przechodziła do innego.

Pewnego razu u Prochodimcewej przedstawiono żywe obrazy. Byli tylko *swoi*. On wyobrażał Jakóba, ona — Rachelę. Ona trzymała w ręku pochyloną kadzielnicę; zakładki jej tuniki opuszczone na piersiach jakoś niechęć rozwarły się... On wysuwał usta („i jak zabawnie je wysuwał... mój głuptasek!” snuło jej się w myśli).

— Eh, Nadziejo Piotrówno, gdybyś mnie pani tym sposobem nakarmiła! — powiedział jej wtedy rzeczywisty radca stanu Bałbiesow, ale ona udała, że nie słyszy, a nawet się *jemu* nie poskarżyła.

Dlaczego się nie poskarżyła? Oto dlatego, że kiedyś powiedział jej:

— Ty, Nadziuniu, jeżeli będą się ciebie czepiać, powiedz tylko! Ja go zaraz na bryczuszkę — i fut!...

Ona zaś, nie tylko że się nigdy na nikogo nie poskarżyła, ale pragnęła jedynie, aby wszyscy na nią patrzyli i cieszyli się.

Potem, pewnego razu, — było już bardzo, bardzo późno — on wpadł w dobry humor

i nagle rzekł do niej:

— Nadziuniu! Jakie ty masz jednak ciało, aż się rozpyśla!

Potem... Byli, razu pewnego, w kenderówce... On — za interesami, ona — wypadkowo...

Marszałek zaprosił ich na obiad... Altanka... Ogród... Słownik śpiewa... W dali przechadza się sekretarz i pali cygaro...

Wszystko to tak się rzucało w oczy, powstawało tak przed nią jak żywe. A co najważniejsze: w miarę tego, jak rozweselała swego przyjaciela, szacunek dla niej wzrastał coraz bardziej. Nikt nawet nie zazdrościł! Wszyscy wiedzieli, że tak jest, że tak być powinien... A teraz? Czemże jest teraz? *Starą* pompadurą!... Czy to jest stanowiskiem? Czy to jest godnością?...

— Ach, gdzież on jest teraz, mój głuptasek!

Nadzieja Piotrówna gryzła się i martwiła. Widziała, że towarzystwo jest dla niej łaskawe po dawnemu, że nawet rewiorowi nie stracili wcale dawnej uprzejmości, ale to jej nie cieszyło, a nawet jak gdyby zasmucało. Każde nowe zaprosiny na obiad albo wieczór przypominały jej o przeszłości, kiedy wynikały z natury rzeczy, nie zaś z politowania, albo z jakiejś sztucznie wywołanej życzliwości. Prawda, miała przyjaciółkę — Olę Siemionównę Prochodimcewą...

Z przyjaciółką tą zamykała się sam na

sam i wspominała dawne czasy. Dziwiła się sama nawet, jakie niewyczerpane źródło szczegółów otwierało się przed nią zawsze, kiedy poruszyła wspomnienia.

— Ot jaki głupiutki ten pompadurek! Ile nadokazywał! — mówiła do Olgi Siemionówny, i znów wynajdywała jakiś niedopowiedziany szczegół i komunikowała go przyjaciółce.

Reszty znajomych wyrzekła się prawie, a rzeczywistemu radcy stanu Bałbiesowowi wprost powiedziała, żeby nawet nie myślał, i że chociaż pompadur wyjechał, ona jak dawniej należy do *niego* jedynie, albo raczej do *dziękczynnego* wspomnienia o *nim*. Rozwścieczyło to Bałbiesowa do takiego stopnia, że nazwał Nadzieję Piotrównę chodzącą „panichidą” (mszą żałobną) po pompadurze; ale i pomimo to jednak nie miał powodzenia.

— Patrz pan, jakie ten pompadur miał szczęście! — mówił on — wszak tyle tylko, zdaje się, miał za sobą, że podobny był do małpy, a jednak takie obudził przywiązanie!

Najwięcej czasu spędzała przed portretem starego pompadura, a ciągle żyła wspomnieniami, tylko wspomnieniami! Zdawało się czasem, że ludzie, szczególnie odnani, potrafili przedostać się do jej ustroja i namawiali ją do przyjęcia udziału w jakiej rozrywce. Ale ona na wszystkie te perswazyje odpowiadała pogardliwym

LEOPOLITANA.

VI.

Cisza na politycznym widokregu naszym, w tej chwili rozpostarta, dozwala mi zwrócić uwagę waszą w inną stronę i przystąpić do sprawozdania z umysłowego ruchu w naszej dzielnicy, a mianowicie w tej części naszego kraju, której historyografię raczyliście powierzyć mojej pieczy.

Nie wątpię, że zapowiedź tę przyjmiecie westchnieniem szczerzego zadowolenia i otuchy; przekonany bowiem jestem, że step jałowy, po którym was oprowadzam z urzędu, znużyć już musiał oczy wasze i umysły widokiem swej jednostajności i stroskanej martwoty. Niestety! zmiana dekoracji nie leży w mocy kronikarskiego dromadera, który was na swym grzbiecie obnosi po tych niegościnnych łąkach. Ani tutaj oazy, gdzieby na świeżej murawie wypocząć można po znojach podróży, — ani tu palm dziewiczych, któreby cieniem zielonego warkocza osłoniły utrudzone czoło pielgrzyma przed pustynnym skwarem, — ani tu żywej krynicy, skądby spragnione usta mogły zaczerpnąć ochłody! Jak daleko wzrok zasięże, ciągną się piaszczyste wydmy, które wiatr dowolnie z miejsca na miejsce przenosi, coraz to inne kształty nadając ich zasypom. Wgórce, po nad tą piaszków powodzią, co wiecznie kipi bezpłodnym jakimś niby ruchem, płoną miedziane niebiosy, obludnie uśmiechnięte i żadną niezaćmioną chmurką, a jednak pełne jakiejś upiornej i zdrowemu życiu wstrętnej zawiści. I niema widokreźnie żadnego przedmiotu, gdzieby spocząć mogło znużone oko wędrowca, — chyba że się zatrzyma na owych Sfinksach i Memnonach, których postacie, wynurzając się z piaszczystej topieli, zarysowują na tle jej szarem czarne swoje kontury. Te Sfinksy, te Memnony, to zabytki onych czasów, nim jeszcze kłatwa Samumu wyjałowila te ziemie; to rzecznicy dawnych prądów ducha,

uśmiechem. Nakoniec, uznano to nawet za niebezpieczne. Sprobowano przywołać na naradę radę dworu Blamanget i zmuszono go, aby raz jeszcze upadł przed nią na kolana.

— Gołąbko, nie w swoim, ale w imieniu całego społeczeństwa błagał nieszczęsny Blamanget, pełzając po podłodze.

— Oszałałeś!... zapomniałeś zapewne *kto* mnie kochał! — odparła, dumnie wskazując na portret starego pompadura.

A pompadur, jak żywy wyglądał z ramki, i zdawało się, że potakiwał jej postanowienia.

I oto, pewnego poranku, Nadzieja Piotrówna zaledwie wstała z łóżeczka, spostrzegła, że na ulicy zapanowało niezwykle zamieszanie. Pomimo całego zajęcia jej myśli przeszłością, serce jej zadrżało pomimo woli i zabiło w piersiach.

— Winszuję ci, duszko! Nowy pompadur przyjechał! — weselo rzekł wchodzący w tej chwili radca dworu Blamanget.

II.

Tymczasem szacunek dla Nadziei Piotrówny wzrastał z każdą chwilą. Kupcy mówili otwarcie, że „gdyby nie ona, nasza mateczka, to *on*, jak Bóg na niebie, nie tylko nas wszystkich, ale nawet prochy nasze rozwiałby w powietrzu!” Szlachta i urzędnicy wyprowadzali ród jej niemal od księcia Olega w prostej linii. Komisarz tak

kapłani dziś w poniewierkę już popadłego zakonu. Niegdyś, przed wielu wiekami — będzie temu lat może już dwadzieścia! — wrzało bujnym życiem ich kamienne łono, a usta ich wieszczę łały pieśni, zwiastujące przyszłych zórz przedświty. Dziś, czy to zwietrzał bazalt ich piersi? czyli też utraciło to, co nad ich głowami świeci teraz słońce, dawnego czaru potęgę? usta ich zamilkły i piersi ich żadnego nie wydaje dźwięku. Osowiałym wzrokiem patrząc przed siebie smętne, z kamiennym jakimś przerażeniem spoglądając na niebios obludę, na wrzekomą martwych piaszków ruchliwość, na to, co się w koło nich krząta niby życie, — patrząc, jedynie niewzruszone wpośród tej upiornej zawieruchy, nie rozumiejąc swego otoczenia i same dłoń będąc niepojętą zagadką!

Nie przeczę, iż obraz, który tu waszym nakreśliłem oczom, nie jest ani ponętnym, ani też wesołym, — nie myślę jednakże, abyście na widok jego szczególniejszej doznali niespodzianki. Niejednokrotnie przedstawiono wam już testroskane łądy w mniej może dosadnych barwach, kładąc tu róż, owdzie bielidło, — niejednokrotnie pisano wam o jałowości naszego piśmiennictwa, o zawichrzeniu pojęć, grasującym w dziedzinie naszej politycznej prasy, o skandalicznych rozterkach, waśniących u nas bezustannie ludzi pióra, — wreszcie o drukowstręcie naszego społeczeństwa i o jego zobojętnieniu dla wszelkich objawów na polu umysłowego ruchu. Pisano o tem długo i szeroko — że tu już tylko o znakomitych zresztą *Listach* p. Koźmiana w *Gazecie polskiej* wzmiankę uczynię — przypisując winę tego oplakanego stanu rzeczy bądź to umysłowej gnusności naszego społeczeństwa, bądź to rozkładowej działalności pojedynczych stronnictw lub osobistości. Były to atoli zdaniem mojem komunały, częśc tylko prawdy odsłaniające, a niewnikające wcale w właściwą rzeczy istotę, która, jeżeli się nad nią zastanowimy, gdzieindziej leży.

się przeraził temi pogłoskami, że pomimo, iż swój awans zawdzięczał jedynie Nadziei Piotrównie, uważał za obowiązek zakomunikować je nowemu pompadurowi.

— Powiedz pan babie, niech się poskromi, a jeśli nie, to... fiut! — odparł nowy pompadur i klasnął w palce z dziwną pewnością siebie...

Nowy pompadur był chłopcem młodym i wcale rzutnym. Nie znał ani nauk, ani sztuk, i do takiego stopnia nie szanował tak zwanych ideologów, że nawet z Pawła Koka innych klasyków przeczytał tylko wyborowe ustępy. Najulubieńszymi wyrażeniami jego były: „fiut!” i, dokąd Makary cieląt nie pędzał.

Powróciwszy jednak z objazdu miejscowej inteligencji, zrozumiał, że pomimo całej rozpacz, Nadzieja Piotrówna stanowi potęgę swego rodzaju, na którą nie zważać byłoby bardzo nierozsądnie.

— Wierzaj, *mon cher* — wynurzał się przed jednym ze swych bliskich: — ta Blamanget... to swego rodzaju prasa moskiewska! Zarówno usługna... i zarówno stała! Ale że w każdym razie trzęsie opinią publiczną — to jak dwa razy dwa!

Najbardziej jednak dotknęło go to, że jeszcze nie zdołał nie zbroić, a już napotkał opór.

— Zlitujcie się! Przyjechałem tutaj... i prócz otwartego serca... nie, jak Boga Kocham! I co... zaraz z samego początku...

Był czas, a pamiętamy go dobrze jeszcze wszyscy, kiedy w tej, dziś z powodu swej obojętności tak powszechnie okrzyczanej Galicyi życie umysłowe żywszem daleko było tętnem. *Czas* krakowski, lwowski *Nowiny*, *Dziennik literacki* i t. d. rozchodziły się po kraju w tysiącach egzemplarzy; — liczne na prowincyi obywatelskie kółka utrzymywały czytelnie, z których wypożyczona książka obiegała dworki szlacheckie po kolei, a zapas rozdzielany był następnie pomiędzy uczestników. Szerokie kółka zapoznawały się w ten sposób z nowymi publikacjami, które z gorączkową rozchwytywane niecierpliwością, żywe wszędzie wzbudzały zajęcie. Wobec takich objawów, możnaż uwierzyć, ażeby to samo społeczeństwo, niedawno jeszcze tak gorąco potrzebę umysłowego pokarmu czujące, bez przyczyny w dzisiejszą swą popadło obojętność? — możnaż przypuszczać, aby z takim spazmatycznym wstrętem odwracało się od wszelkich druków, gdyby pomiędzy drukami tymi a jego umysłem nie została zerwana owa nie sympatyczna, która je niegdyś łączyła? — możnaż zresztą bez wyrządzenia krzywdy zdrowemu rozsądkowi przypisać zwrot ów oplakany zgubnej działalności pewnego stronnictwa, lub też — jak chcą niektórzy, pewnej osobistości, jeżeli się temu stronnictwu lub tej osobistości nie przyznaje zarazem jakiejś nadprzyrodzonej, istotnie demonicznej potęgi? — twierdzenie, którego zdrowy rozsądek wcale nie dopuszcza!

Tak jak dziś rzeczy stoją, obraca się sprawa rozbudzenia umysłowego ruchu u nas w zakłętym kole. Ludzie pióra nie piszą, bo nie znajdują dla swej pracy nakładów; — księgarze nie podejmują się nakładów, bo prace naszych pisarzy nie znajdują nabywców i czytelników; — ogół nie kupuje książek i nie czyta pódów naszych pisarzy, bo nie odczuwa w nich swoich własnych dążeń, swoich duchowych sympatyj i antypatyj. Owóż jeżeli śledzić będziemy początki tego przesilenia, które

Jednakże, powoli, ciekawość odniosła tryumf i gdy pewnego razu komisarz zjawił się rano, jak zwykle, nowy pompadur nie wytrzymał już dłużej.

— A co... ta stara... jaka ona? — zapytał.

— Ptaszek!

— Hm... pan pojmuje... ja... Ale!...

— Tak w istocie.

— Naturalnie!

Komisarzowi oddech w dołku zaparła radość. Był on przedewszystkiem człowiekiem życzliwym i nie mógł nie ubolewać z całego serca na widok jakichkolwiek niesnasek i swarów. Dlatego też, niezwłocznie, od pompadura popędził do Nadziei Piotrówny i zastał ją siedzącą w zgnębieniu przed portretem starego pompadura. Przy jej nogach pełzał Blamanget.

— Gdzieżes teraz, głuptasku! Nadokazywałeś — i wyjechałeś! — mówiła sama do siebie.

Gdy jednak w przedpokoju dał się słyszeć brzęk szpady policyanta, nie mogła nie zadrzeć. Tak drży stary koń bojowy, usłyszawszy sygnał trąbki. Trzeba zresztą dodać, że do Nadziei Piotrówny każdy i o każdym czasie mógł wchodzić bez zapowiadania i żądać wódki oraz zakąski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

wykopało rów ten i przedział pomiędzy społeczeństwem a tymi, co są mózgiem narodu i ewangeliczną rolą tej ziemi, to ujrzymy, że początek jego przypada w równym czasie z pierwszymi zawiązkami naszego z Austrią sojuszu, w którym nam nieubłagana konieczność szukać każe chwilowego punktu oparcia. Pod naciskiem wypadków, w chwili, kiedy przed nami stało hamletowskie *to by, or not to by?* przyjeliśmy to wstrętne małżeństwo ze wszystkimi jego moralnymi frendzlami, wraz z dobrodziejstwem całego odnośnego inwentarza, do którego należą brak idei dziejowej, wieczyste prowizoryum, nieśmiertelne *divide et impera*, zastój, fałsz, moralne i materialne bankrutetwo, — słowem wraz z całym tem fatalnem wianem Dejaniry, które właściwą treść i duchową istotę tej historycznej „dziury w moście“ stanowi. Było to powtórzenie znanej bajki Perraulta: *la Belle et la Bête*, w której, jak wiadomo, piękna krasawica oddaje rękę swą potworowi, z tą tylko różnicą, że w bajce poświęcenie krasawicy zdejmuje urok, ciężący nad potworem, który się zamienia w pięknego jak słońce królewicza. Tutaj wywołał sodomski związek wręcz przeciwnie skutki i ołowianem zaciężył brzemieniem urok nad duchem pięknej krasawicy. Musieliśmy się wyprzeć naszych wstrętów, musieliśmy zerwać z naszymi sympatjami i duchowymi aspiracyami, musieliśmy naginać nasze pojęcia do potwornych istotnie wymogów oczywistości, — musieliśmy myśli nasze i pragnienia dostroić do obcych pragnień i myśli, a tem samem zniżyć się do transakcyi z własnem sumieniem i do apostazyi własnego ducha.

Dla t. z. praktycznych polityków — a przyznam tu, że dla ludzi tych, którzy z dumą się do tego przyznają ceehu, nie szczególne mam nabożeństwo — dla t. z. praktycznych polityków powiadam są powyższe ofiary rzeczą małą tylko wagi wobec chwilowych korzyści, któreśmy z tego sojuszu odnieśli. Dla moralisty zaś i myśliciela, są to jednak niepowetowane straty. Tak bowiem, jak w świecie fizycznym nie ginie żadna siła, tak samo nie ginie w świecie moralnym żaden z naszych czynów, żadne słowo i i żadna myśl nasza. Owszem, każda z nich — dobra czy zła — znajduje zawsze odgłos w nas samych, w społeczeństwie, w którym żyjemy, więcej jeszcze, nawet i w pokoleniach, które po nas przychodzą. Któż więc nam dziś powiedzieć może, jaki jeszcze w przyszłości owoc wydadzą kły kadmejskie, które w umysły naszego społeczeństwa zasiane zostały skutkiem tego dziwoleźnego sojuszu? — To też nie zastanawiając się nad tem dłużej, tem bardziej, ile że nas dziś tylko obchodzi wpływ, który austro-polska ślubna intercyza na rozwój naszego umysłowego życia wywarła, zaznaczę tu tylko fakt, że małżeństwo to stworzyło tu dla ducha fałszywe, że tak powiem, położenie, w którym pomimo obszernej zresztą swobody praca umysłowa naszego pokolenia żadną się miarą zdrowo rozwijać nie może. Przyjmując to „rozumowe małżeństwo“, popadliśmy w rozterkę sami z sobą, a nieuniknionem następstwem narzuconej nam przez konieczność politycznej tartuferyi jest tartuferya umysłowa

i moralna, wogóle ów stan chorobliwy, w którym duchowo żyjemy. I dziwieć się tu, że w tej atmosferze kłamstwa i obłudy żaden się piśmienniczy talent prawidłowo rozwijać nie może, — że owszem te, którym na czołe złożyła muza swój pocałunek, nędznie marnieją, — że ludzie pióra, zarzucając sobie wzajemnie fałsz i obłudę, nie mają dla siebie ani życzliwości, ani szacunku, a tylko pogardę, — że wreszcie ogół nasz nie odczuwając w piśmienniczych dzisiejszych płodach ani prawdy, ani „swych uczuć przedzy“, ani swych myśli kwiatów, niechętnie oczy od wszelkiego druku odwraca!

(D. n.)

Lord Beaconsfield.

(Beniamin Disraeli.)

III.

W rok po wydaniu *Coningsby'a* wykończył Disraeli drugą, również niezwyklego znaczenia powieść, stanowiącą dopełnienie poprzedniej. *Coningsby* był wizerunkiem dwu pokoleń; powieść nową nazwał on *Sibyl*, czyli dwa narody.

Ktoreż to były owe dwa narody? Nie chodziło tu o Anglię, ani o żaden z nią rywalizujący naród w Europie. Autor przedstawia raczej dwie społeczne klasy, na które każdy kraj a więc i Anglia jest podzieloną: bogatych i ubogich. Poraz to pierwszy i jedyny Disraeli wyszukał bohatera do swej powieści po za dziedziną najbogatszych, zgłębiając troskę i poglądy ludu, na chleb pracującego. W *Sibylu* usiłuje zwrócić oczy Anglii na nędzny stan biednych jej współobywateli, aby tem samem wykazać błędy polityczne, z tego stanu wynikające. Dzięki przyjacielowi Disraeli odczytał całą korespondencję, przeprowadzoną między głównym przywódcą *chartystów* O'Connorem, redaktorem gazety *Northern Star* a przywódcami ruchu i mężami zaufania. Prócz tego zwiedził miejscowości, w których powieść jego się rozgrywa, przyczem miał sposobność bliżej poznać panującą w Anglii nędzę. Opisywał, co widział, bez żadnej przesady, a nawet, jak sam wyznaje, przedstawił rzeczywiste stosunki w łagodniejszym świetle; czuł bowiem, że nie uwierzą mu, gdy nagą rzeczywistość nakreśli w zupełnym jej obnażeniu.

Pod względem politycznym powieść ta posuwa się w tym samym kierunku, lecz z większą jeszcze gwałtownością niż poprzednie. Autor daleko dobitniej odzywa się do obu stronnictw, dowodząc im, że czas ich przeminął i że w gruncie rzeczy żadnej niema między niemi różnicy. *Chartyści* dawno już przestali rozgraniczać dwie partye, które obecnie, jak niegdyś, walczą o zwycięstwo. I mieli słuszość. Gdzież bowiem istnieje zasada, któraby wytykała różnicę między szlachetnym lordem, składającym swój portfel, a przyjmującym go nowym *right honourable gentleman*? W powieści tej, podobnie jak w *Coningsby*, Disraeli z niesłychaną gwałtownością napada na angielski parlamentaryzm, gdzie rząd rekrutuje dla siebie większość wśród kilku

tuzinów nieznanych głupców, których przychylność pozyskać można obietnicą parowskiego tytułu, baroństwa lub wreszcie zaprosinami na dworskie bale.

Często autor w powieści tej przepowiada, że toryzm powstanie z grobu, złożony tam od śmierci Bolinbrocka, aby potężnym głosem powiedzieć światu: „że władze jeden mają obowiązek: ugruntować dobrobyt ludu.“ Niektóre miejsca w tej powieści przypominają Lassalla.

W *Coningsby* autor ilustrował stosunki polityczne, w *Sibylu* społeczne, w trzeciem zaś ogniwie tej trylogii w *Tankredzie* czyli *nowej wojnie krzyżowej* rozbiera stosunki religijne.

Tankred jest bez wątpienia jednym z najoryginalniejszych i najbardziej zajmujących dzieł lorda Beaconsfielda, jest żartobliwie patetyczną i ironicznie mistyczną książką, która pozornie sprawia wrażenie dziwaczne. Nie należy jednak zrażać się tymi pozorami; powieść ta bowiem obejmuje cały zakres poglądów Beaconsfielda. Spotykamy tu zewnętrzną swobodę pańskiego życia, zapełnionego wyłącznie kulinarno-gastronomicznymi żywiołami, dalej najwyższy religijny patos i wielkie polityczne plany autora, które rozwijał począwszy od 1874 r. Jest to książka o dwójakim obliczu: jedno nacechowane delikatną ironią, drugie zaś prawie naiwnym mistycyzmem. Siegnąwszy głębiej, wsłuchawszy się w tętno książki, dosłyszmy słowa Beaconsfielda, któremi zwraca się do ortodoksów: „Gdybyście byli konsekwentni i na serio wierzyli w to, w co niby wierzycie, wówczas postępowalibyście całą masą z takim zapalem, naiwnością, wiarą i szaleństwem, jak mój bohater. Gdybyście byli szczerzy, przyznalibyście, podobnie jak mój bohater, że zawdzięczacie żydom i judaizmowi wszystkie wasze najdroższe klejnoty i winniłobyście ich czcić, zamiast lekceważyć i prześladować. Nie jesteście wszelako konsekwentni, ani szczerzy, ani wierzący, wszysey wy razem i każdy z osobna jest filisterskim racjonalistą, a ponieważ nie chcecie się do tego przyznać, skosztujecie nieco z mej książki.“

Tankred w stosunku do wschodniej polityki lorda Beaconsfielda stanowi jego właściwą pierwocinę i teoretyczne jądro, które zwolna wyłuskiwało się z poetyczno-fantastycznej łupiny, aż wreszcie wypróbowane krytyczną dłonią czasu wyszło na świat po trzydziestu latach jako poważny polityczny program.

Po *Tankredzie* nastąpiła długa, dwudziesto-kilkoletnia przerwa. Jedyną pracę literacką, jaką Disraeli w ciągu tego czasu napisał, była biografia lorda Jerzego Bentinka. Jeżeli od tej pory mało pisywał, to nie wskutek znużenia lub wyczerpania, ale jedynie z powodu swych zajęć na arenie politycznej. Był to bowiem przede wszystkim człowiek czynu, który literackiem piórem w formie poetycznej ilustrował przyszłe swe czyny i zamiary.

Jakkolwiek torysowskie ministerium upadło 1868 r. wskutek wystąpienia Disraeliego przeciw zniesieniu państwowego kościoła w Irlandyi, nie porzucił on jednak zamiarów swej młodości, dotyczących politycznego równouprawnienia katolików.

Chwile względnego wypoczynku poświę-

cił skreśleniu nowej powieści, która pojawiła się 1870 r. p. t. *Lothair*. Utwór ten nosi na sobie wyraźnie cechy dojrzałej starości. Jestto owoc bogatego doświadczenia.

Ostatni utwór Beaconsfielda *Endymion*¹⁾, żywo zainteresował świat literacki i polityczny. Wogóle nie spodziewano się po nim wielkiego zapалу i świeżości uczuć. Wiedzano, że autor jest starcem. Nowa powieść, jako ilustracja angielskiej pogoni za dostojenstwami, jest pracą wierną i zajmującą. Owo zaś polowanie *high-life'u* na godności i miliony, na blaski, znaczenie i bogactwa, z całą gorączkowością i nieumiejętnością panowania nad sobą, przedstawił autor z pełną życiową prawdą. Wszyscy bohaterowie nieznają innego celu nad chęć wywyższenia się. Opisy angielskiego towarzystwa są nadto wierne i zdradzają zdolne pióro. Bulwer, poprzednik Disraeliego w tym kierunku, znakomicie odzwierciedlał tak zwany wyższy świat; wszelako Disraeli ani na chwilę nie opuszcza politycznego koła, w którym bohaterowie jego się obracają. *Endymion* jest romansem historycznym; wklajają się w nim stosunki angielskie, poczynając od 1828 r. Miejscami nawet powieść ta zdaje się być kroniką parlamentarnych wypadków.

Disraeli w powieściach swych obrał sobie zupełnie odmienną drogę, zwłaszcza w *Endymionie*. Wprowadza on nas tu niby na bal maskowy wielkiej polityki, z tą wszelako różnicą, że po godzinie północnej bohaterowie jego nie demaskują się. Pod względem zaś przygód spotykamy w powieści tej na przemian prawdę ze zmyśleniem, co dziwne wywołuje sprzeczności wobec faktów, znanych starszym dziennikarzom i politykom. Autor faktu zapisane we wszystkich dziennikach ostatnich dziesięcioleci przybrał fantastycznie, ustawiwszy je w legendowym oświeceniu. Pod względem charakterystyki osób najrzędniej w wykonaniu wyszły postacie podrzędne. Wielkie zaś domy odznaczają się pewnym familijnem podobieństwem — wszystkie one pragną odegrać najpierwsze towarzyskie role i nadawać ton w swych politycznych salonach.

Wogóle nie podobna ostatniej powieści Beaconsfielda postawić na pierwszym planie. Widocznie polityczne jego zdolności większą posiadały trwałość i dzielność od literackich. Z postępem wieku rósł on w znaczenie i wpływy, lecz siły jego pisarskie słabły. Jako polityk, trzymał się raz obranej drogi zarówno w charakterze przywódcy partii torysów, jako też w roli głównego wodza tak zwanej polityki wschodniej. Pośmiertne wspomnienia tego niepospolitego człowieka pełne są zapалу i uwielbienia. Wogóle jednak poważę się zaznaczyć, że podobnie jak wszyscy znaczni mężowie stanu, którzy nie zdołali odnowić podstaw państwowego organizmu, Beaconsfield nie zdobył sobie nieśmiertelnej sławy, chociaż należy on bezspornie do największych bohaterów *pomocy własnej* i jako taki długo świecić będzie na widnokrę-

gu niezmordowanej ludzkiej pracy i wytrwałości.

Z.

PO GRUDCE ZIEMI *).

Gdy sądy boże jak wichry powstały,
By kości nasze rozmiatać po świecie,
Sierocy sztandar wielkości i chwały
Bóg oddał w ręce poecie.

Wziął go wieszcz, w blaskach słonecznych
[rozwinął,

Jako ofiary i nadziei znamię;
Ściągnął nad ludem potężne swe ramię
I jak wódz — na duchy skinął.

Poczuł się w sobie hufiec rozproszony
Po krwawych, ziemi całej, polach bitwy;
Pieśń się zerwała nad lany Korony,

Nad puszcze sinej w mgłach Litwy.
I w sercach ludu szukając oddźwięku,
Wiązała w klęskach potargane struny,
Nawykłe zdawna do klątwy lub jęku,
Kiedy w nie były pioruny.

Długo my byli, jak lutnia strzaskana,
Niezdolna wydać nic więcej, prócz zgrzytu,
Na której wichry, od rana do rana,
Targały ciszę błękitu.

Długo my byli, jak trup porzucony,
Co się nocami przebudza cichemi
I idzie — bladym upiorem wskrzeszony,
By ssać krew własnej swej ziemi.
Aż nieśmiertelnem tknięci słowem mistrza,
Hymn my ofiarny podnieśli z mogiły...
Odtąd harmonia wciąż czystsza i czystsza
Wzmaga nam ducha i siły.

Wieszcz wskrzesił serce narodu, mdlejące
W marnych wysiłkach śmiertelnej rozpaczy,
On dla rozbitków, dla nędznych tułaczy
Był — jako ziemia i słońce.

On z pieśni swojej uczynił ognisko
Obozu duchów, przy którym się grzeje
Naród zmartwiał, nim zorza zadnieje,
Bóg wie, daleko — czy blisko.

On z pieśni swojej uczynił nam hasło,
Po którym, bracia, na duchów strażnicy
Poznać się możemy, nad ziemią zagasłą
W martwej zwątpienia ciemnicy.

On nam z niej słowa uczynił pacierza,
Hymn narodowy nadziei i wiary,
Puchar krzepiący — i arkę puzymierza,
Co strzeże naszej ofiary.

Jak zawołanie wspólnego nam rodu,
Pieśń jego poszła po całej tej ziemi,
I była chlebem wśród suszy i głodu,
Zdziejami była żywemi.

I budząc sennych z długiego uśpienia,
Jak blask poranny, co bije wskrós powiek,
Dla zbrodni — była okrzykiem sumienia,

Dla słabych — hasłem: „tyś człowiek.“
Drżący ją starzec powtarzał o świecie,
Patrząc w słoneczność wschodzącej ju-
[trzenki,

Dusza młodzieńca swój zapal i życie
Z jednej czerpała piosenki.

Pieśń ta uwiła królewski dyadem,
W którym leż naszych zabłysły kropelki,
Nad czołem dumnym, spokojnym, choć bla-
Kobiety — obywatelki. [dem,

I zarzuciła płaszcz drogi, utkany
Z żywej tajemnych wzruszeń naszych prze-
Na ziemię ojców, na krwawe jej rany, [dzy,
Na nagość i wstyd jej nędzy.

Gdy biła w skrzydła anielskie nad ludem,
Nawet bluźnierca uginał kolana,
A w oku jego wybierała — jak cudem
Łza wrząca, dawno nieznana.

O bracia moi! ja wam nie uczynię
Krzywdy, wołając o pomnik Adama!
Wiem, że ta ziemia poruszy się sama
I wyda z siebie świątynię.

Wiem, że się zwina puszcze starej Litwy
Na wieniec godny śpiewaka swojego;
Wiem, że z ich szumem, jak z pieśnią mo-
Rzeki do morza pobiega. [dlitwy

Wiem, że zniesiemy rękami własnymi,
Z nad brzegów Niemna i z równin Korony,
Choćby po grudce ojczystych pól ziemi,
Temu — co czuł za miliony.

Marya Konopnicka.

KORESPONDENCYA PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

28 kwietnia.

W pierwszy dzień rosyjskiej Wielkiejnocy miasto przybrało dawno niewidziane jaskrawe barwy narodowe: dzwony świąteczne odzywają się od rana do nocy, na ulicach brzmia słowa „Chrystos woskresie“ i głośnie trzykrotne pocałunki w policzki. Ostatni ten zwyczaj znacznie już osłabł, co prawda; spodziewać się więc należy nowego apostoła z Moskwy, albo przynajmniej nowej klątwy na miasto „pozbawione wszelkich tradycji narodowych.“ Co do tradycji — trudno jest coś stanowczego orzec; ale co do zwyczajów miejscowych, w ścisłym znaczeniu słowa związanych z pewnym czasem lub miejscem, jakie posiada mniej więcej każde miasto historyczne — to Petersburg rzeczywiście nie ma prawie żadnych. Dla tego też petersburszykom chodzi bardzo o to, aby tak zwana „werba“ to jest drobny handel przedświąteczny rozmaitego rodzaju jajami; moskiewskich lub zagranicznych wymysłów, i drobiazgami tanimi, odbywający się podczas szóstego tygodnia postu pod arkadami „Gostinnawo Dwora“ na Newskim Prospekcie wydawał się jak najświetniej. Chodzą więc nań tłumnie i zawzięcie, naładowują kieszenie niegustownymi i nieużytecznymi drobiazgami, w tem zapewne błogiem przekonaniu, że tworzą pewną tradycję, owe filary, które posłużą czasom do oparcia się porządkowi społecznemu. Niedawno jeszcze patrioci miejscowi mieli nawet bardzo przyjemną niespodziankę. Oto, bolejąc ciągle nad tem, że stolica nie ma żadnych zabytków archeologicznych własnych, nagle się dowiedzieli, że przy okopywaniu jednego z placów znaleziono pod ziemią ruiny budowli, murów i t. d. Hereulanum i Pompei, prawdziwa Palmira północna! gotowi byli już wołać, gdy po bliższem rozpatrzeniu okazało się, że mury te nie tak zamierzchłych sięgają czasów, gdyż były to więzienia (turmy) z czasów Katarzyny II, świadczące w każdym razie wymownie o przeszłości, jeżeli nie zbyt oddalonej, to przynajmniej jaskrawej.

Świąteczne tłumy napelniają ulice, tak samo jak przed rokiem, przed dwoma, równie obojętne na pozór i spokojne — wpływ to zapewne temperamentu północnego, niełatwo przepuszczającego na zewnątrz poruszenia wewnętrzne. Rzeczywiście zaś wątpliwości nie ulega, że wypadki ostatnie wywarły głębokie wrażenie na masy; epi-

¹⁾ Obok *Tankreda*, tłómaczonego i drukowanego w *Biblioteczce Warsz.*, jest to druga powieść Disraeliego, przełożona na język polski i wychodząca obecnie w *Nowinach*.

*) Należność za tę pracę (rs. 9 kop. 60) przeznaczyła autorka na pomnik Mickiewicza. Zarówno ten względ, jak i niewątpliwe piękności wiersza skłoniły nas do pomniejszenia go mimo jego częściowej niezgody z filozoficznym wyznaniem *Prawdy* (Red.).

demia polityczna zaraziła wszystkich; nie mówiąc już o stróżach domowych — ludziach bardzo biegłych w kwestjach polityczno-społecznych — nawet wszelkiego rodzaju gospodynie, zwłaszcza zaś wynajmujące pokoje studentom i uczącym się paniom, pilnie studyują politykę, zapominając o przygotowaniach przedświątecznych.

Teraz zapewne, prócz spostrzeżeń nad sąsiadami, rozmyślają wielce nad ostatnim faktem wybitniejszym, to jest nad dymisią prezesa głównego zarządu cenzury p. Abazy, wyprowadzając słuszne wnioski, że zmiana człowieka jest zarazem zmianą kierunku — owego kierunku, kiedy to bracia śpiący, jak ich nazwał kiedyś „Poseł Prawdy“, cieszyli się i ufali i marzyli o... niebieskich migdałach.

Dziś marzymy wprawdzie i cieszymy się także, ale nie zapuszczając się zbyt wysoko i daleko, marzymy i cieszymy się tylko reformami w ministerium dóbr państwa oraz dróg i komunikacji, pozostawiając „sprawy wewnętrzne“ ich właściwemu biegowi. Zresztą dobra państwowe i drogi prowadzące do nich znajdują się przecież też wewnątrz Rosyi, mówiąc zatem o nich, mówimy osprawach wewnętrznych. A wiele i tu znajdzie się materiału do mówienia o „narodzie!“ Dziś przecież żadne słowo nie deklinuje się nieprzerwanie, zacieklej i tak rozmaitymi głosy, jak słowo „naród.“ Leci ono z katedr publicznych, stoi w każdym nieledwie wierszu gazety, grzmi w aktach salonowych mówców, zapewne wiedzą też o nim i w salonach urzędowych. A jednak nikt się jeszcze nie opęda odeń, jak od dokuczliwej muchy, może dla tego, że za każdym razem zjawia się przybrana w tak rozmaite barwy, że nikt nie poznaje zawsze tego samego owadu. Rzeczywiście zadziwiająca i niepojęta prawie różnorodność charakterystyk tego narodu, zdań, poglądów i uczuć przepisywanych mu. Można by pomyśleć, czytając i słysząc wszystko, co się o nim mówi, że każdy artykuł dziennikarski, każda powieść, każde odezwanie się pojedyncze dotyczy coraz to innej narodowości, wchodzącej w skład mieszaniny etnologicznej państwa rosyjskiego. A jednak wszystkie te charakterystyki i poglądy mają na względzie tylko narodowość rosyjską — wielko-rosyjską jedynie. Włościanin p. Aksakowa, Dostojewskiego — nie nie ma wspólnego prawie z włościaninem *Otieczestwiennych Zapisek*, dziennika przeważnie poświęconego sprawom ludowym i poznawaniu ich. Zresztą formy życia ludu, apoteoza gminy ziemskiej włościańskiej, sądów włościańskich i t. d. pozostają zawsze wprawdzie te same; ale jaka różnorodność sądów o nich, o ich duchu, o stronie wewnętrznej, — wogóle o świecie wewnętrznym włościanina. Zapewne trudno jest inteligencji zespolić się do tyła z życiem ludu, aby zrozumieć wszystkie jego tajemniki, wytłumaczyć sobie tę dziwną różnorodność zjawisk, których przyczyny tkwią to w głębi wieków i mają charakter ogólny, to są wynikiem miejscowym czysto i wcale może niedawnym. Każdy prawie spostrzegacz z pewnością może widzieć co innego; może poznać inną stronę życia, inną miejscowość — i zapewne zczasem, gdy nastąpi czas syntezy, złoży się z tego pewna całość; po cóż teraz tak się spieszą uogólniać i narzucać wszystkim swój jedynie wyrok? W każdym razie jednak zazdrościć należy Rosyi tego rzeczywiście powszechnego zainteresowania się ludem — to jest gruntem wszelkiego bytu społecznego. Od niedawnego jednak stosunkowo czasu zaznajamianie się z nim przybrało bardziej realny charakter. Kiedy po wojnie krymskiej przekonano się nareszcie, że państwo powierzchownie silne, skoncentrowane, napózor doprowadzone do swoich ostatecznych logicznych wyników, w gruncie rzeczy było pozbawione niezbędnych warunków równowagi — reakcja przeciwko

istniejącemu porządkowi rzeczy stała się powszechną; głęboko została odczuta gwałtowna potrzeba zastosowania nowych form zewnętrznych do zmienionej treści życia, i na pierwszym planie powstała kwestya uwłaszczenia włościan. Posypały się tysiączne projekta, z najodleglejszych zakątków odezwały się głosy, rząd zwrócił się wbrew tradycjom biurokratycznemu do niektórych wybitnych członków społeczeństwa, niemających dotąd nic wspólnego z machiną rządową, wyznaczył komisye, zachęcał. Robota zawrzała wszędzie, szlachta uznając w znacznej części swoją rolę za skończoną, starała się zastosować do prądu ogólnego i pomagać do reorganizacji ogólnej. Literatura, towarzystwa naukowe poważnie się zagłębiły w poznawanie warunków życia ludu i indywidualności włościanina. Kierunek ten w literaturze rozwijał się coraz bardziej w duchu pozytywnym i dziś szczególnie, po przeminięciu kierunku negatywnego, znanego w Rosyi pod nazwą kierunku lat 6-go dziesiątka, ostatecznie prawie wszedł na drogę realną. Podczas panowania negacji powszechnej, zupełnie naturalnej w ostatnich latach 5-go dziesiątka (zawierającej właściwie okres 1856—70 r.), wytworzącej dla Rosyi niezmiernie ważną epokę, której rezultaty odczuwamy w dzisiejszej dobie, kwestya ludu, po skutecznionej zwłaszcza reformie, nie stanowiła jeszcze głównego przedmiotu zajęcia postępowej części społeczeństwa, jak to widzimy dziś; wówczas stała ona w rzędzie innych mniej więcej teoretycznych zagadnień, w rzędzie z nowem objawieniem dla ówczesnego społeczeństwa, materializmu, darwinizmu, kooperacyami, spółkami, z tendencją tworzenia typu nowego człowieka, nowego indywiduum społecznego, nad uformowaniem którego tak usilnie pracowali świetny wódz i pełen talentu kierownik epoki — Pisarew. Nowy człowiek, zdaniem jego, miał się wlać w typ „myślącego realisty“, w którego mocy miała być reorganizacja całego społeczeństwa. Pisarew wierzył, że reorganizacja ta mogła być dziełem osobistości, powinna była iść z góry od inteligentnych jednostek i pochłaniać w sobie coraz to większą część masy ludności rosyjskiej, która sama przez się, zdaniem jego, nie zawierała w sobie żadnych samodzielnych pierwiastków do odrodzenia, i nie mogłaby niczego nauczyć, gdyby się do niej po jakie wskazówki zwrócono.

Inaczej patrzyła na warunki odrodzenia drugi wpływowy człowiek tej epoki — Dobrołubow. Wpływ jego za życia był znacznie mniejszy od wpływu Pisarewa, gdyż teorye jego mniej odpowiadały przekonaniom społeczeństwa, wierzącego głęboko w jednostkę, nieznającego jeszcze znaczenia masy narodu. On zaś w niej przedewszystkiem widział źródło odrodzenia i wszelkiego życia, w udziale jej, o ile można wszechstronnym, w rozwoju i ruchu powszechnym. Dzisiejsi zwolennicy ludu (prócz słowianofilów) wstępują w ślady Dobrołubowa i wpływ jego staje się coraz widoczniejszym; młodzi pisarze trzymają się przeważnie jego kierunku i starają się, o ile można, obiektywnie i bez uprzedzeń zająć się z życiem ludu. Niezawsze, co prawda, udaje się pozostać przy zamierzonej granicy; to też często przed niedawnymi czasy wyłoniła się pewna szkoła idealizacyjna, zbliżająca się w swych zachwytach nad ludem do moskiewskich słowianofilów, bijących się w piersi ze skrucą przed tym nowym św. Graałem XIX-go wieku.

Z licznej plejady powieściopisarzy ludowych wybitne stanowisko w literaturze dzisiejszej zajmują pp. Gleb Uspienski i Złotowratski; obrali sobie oni rozmaite strony życia ludowego — pierwszy śledzi głównie za odbiciem się i wpływami długoletniej niewoli, drugi najchętniej daje nam obrazy pewnych idealnych tendencji ludu, właściwych mu, jak w ogóle każdemu in-

nemu społeczeństwu człowieczemu. Kierunki dwu tych ostatnich „narodolubów“ mają dziś najwięcej zwolenników. Z czasem dzięki usiłowaniom podobnym „naród“ nie będzie wydawał się nam masą nieforemną, taką *tabula rasa*, na której każdy pisze, co mu się wyda stosownem w dawnej chwili. R.

GUSTAW FLAUBERT

w życiu prywatnem *).

Gdy człowiek stanie się sławnym, wszystkie dzienniki świata badają, opowiadają i rozbiegają sposób jego życia. Zdaje się, że publiczność znajduje szczególną przyjemność w dowiedzeniu się: o której godzinie on jada, jakie ma meble, jakie osobiste upodobania i jakie codzienne przyzwyczajenia. Zresztą, ludzie sławni chętnie zadowalniają tę ciekawość, która powiększa ich chwałę: otwierają na oścież drzwi swego domu reporterom, a tajemki swego serca każdemu.

Gustaw Flaubert, przeciwnie, ukrywał zawsze swe życie ze szczególną wstydlivością; nie pozwolił nawet zrobić swego portretu; a oprócz najbliższych, nikt do niego nie miał przystępu. Jedynie przyjaciółom otwierał swoje „ludzkie serce.“ W tem ludzkim sercu przez długi czas płynęła miłość dla literatury, miłość tak gwałtowna i obfita, że wszystkie inne uczucia, któremi ludzkość żyje, płacze, cieszy się i smuci, stopniowo w niej zatoneły.

„Styl, to człowiek“ — powiedział Buffon. Flaubert był uosobionym stylem do tego stopnia, że forma wyrażenia często decydowała u niego o formie myśli. Wszystko pochodziło z mózgu; nie kochał on nic, a nawet nie mógł kochać, jeśli czego nie uznawał za godne literatury. Na dnie jego upodobań, namietności, marzeń, odnajdywałeś zawsze literaturę; oniej tylko myślał, o niej tylko mógł mówić. Ludzie, których spotykał, podobali mu się o tyle tylko, o ile widział w nich osobniki zdadne do odmalowania w powieści.

W jego rozmowach, rozprawach, uniesieniach, gdy z podniesionemi rękami gorąco dowodził, czuć było, że sposób widzenia, uczucia, sądzenia, zależy wyłącznie od pewnego artystycznego probierza, do którego wszystkie swe zdania stosował.

„My, literaci — mówił — żyć nie potrzebujemy; tylko dzieła nasze żyją;“ a jako przykład ideału literata przytaczał La Bruyère'a, którego życie i przyzwyczajenia są prawie nieznane. Pragnął on pozostawić swoje dzieła, nie zaś wspomnienia.

Pojęcia jego o stylu odpowiadają pojęciu o pisarzu. Zdaniem jego, osoba piszącego powinna zatrzeć się w oryginalności dzieła, oryginalność zaś dzieła nie powinna wynikać ze szczególności stylu.

Nie pojmował on „stylów“, niby szeregu form, właściwych każdemu pisarzowi, w które można wlewać wszelkiego rodzaju myśli; lecz sądził, że istnieje jeden tylko „styl“, jedyny sposób wyrażenia danej rzeczy, z właściwą barwą i siłą.

Dla niego formą było dzieło samo. Jak u istot żyjących krew zasila ciało i stanowi o kształtach i formach zewnętrznych, stosownie do rasy i gatunku, tak treść danego dzieła wymaga pewnego wyrażenia, które jest jedynie stosownem, posiada jedyną właściwą miarę, rytm, całą skończoność formy.

Nie przypuszczał, aby forma mogła istnieć bez treści, a treść bez formy.

Styl więc powinien być niejako nieosobisty, wszystkie swe zalety zawdzięczać myśli, potędze wyobrażeń.

*) Ze wspomnienia Guy'a de Maupassant.

Najwyższą właśnie cechą jego osobistości była dążność, aby we wszystkich swych myślach, we wszystkich czynach, we wszystkich okolicznościach życia być tylko pisarzem, i niczem więcej jak pisarzem.

Paryscy więc reporterowie mało mieli do zbierania na tem polu, na którym mógł żąć tylko artysta.

Pomimo to, czasami odsłaniał się i człowiek. Szukajmy.

Flaubert nie znosił samotności, gdy nie mógł pracować; ponieważ zaś najmniejszy nawet ruch przeszkadzał mu myśleć o zaczętem dziele, nie przyjmował więc zaprosin, jeśli który z przyjaciół nie przyrzekł mu, że go odprowadzi do domu.

U siebie, w swoim gabinecie, u stołu, a nawet będąc na obiedzie u znajomych, był zawsze artystą i filozofem. Lecz gdy w nocy powracał do domu, często pierwotna jego natura ukazywała się w całej prawdzie.

Pobudzony dobrym obiadem, zadowolony z wieczornego chłodu, w kapeluszu zasuniętym na tył głowy, opierając się na ramieniu towarzysza, wybierając puste ulice, aby uniknąć przechodniów, chętnie opowiadał o sobie, o najtajniejszych wypadkach swego życia i ujawniał skryte strony swej natury. Gdy idąc, zmęczony się, stawał pod jakąkolwiek bramą i opowiadał dawne anegdoty, poruszał wspomnienia.

Donośny głos jego rozlegał się wśród samotności uspiętego Paryża. Często na odgłos jego mowy dwaj policyanci, jak dwa cienie, zbliżali się cichutko i oddalali spokojnie, rzuciwszy okiem na tego olbrzyma w białej kamizelce, krzyczącego głośno i uderzającego laską o kamienie.

Wówczas w tym pisarzu genialnym, w tym autorze wspaniałych romansów odkrywał naiwność dziecka, częstokroć nawet zupełną nieznajomość życia. Dar obserwacji, taki silny i rubaszny w jego dziełach, w praktyce życia codziennego zdawał się być zupełnie stępionym. Uważano go za sceptyka, a on przeciwnie był pełen wiary, rozumie się nie religijnej, lecz wiary w spełnienie wszelkich nadziei, we wszelkie delikatne i silne uczucia.

Bywając często zadraśniętym, co zwykłe zdarza się w okrutnej na świecie gonitwie, utworzył sobie w duszy pewien zasób nieustannego smutku; w ciągłej zaś walce niepospolitego rozumu z drażliwą, niezmiernie naturą przetrząsał się ustawicznie od bezwiednej wesołości do czarnej melancholii.

Gdy pisał do swych przyjaciół, prawie zawsze jakiś frazes malował ten silny ból strasznego rozczerowania. Zamiast raz na zawsze przyznać obojętnie „wieczną nędzę wszechrzeczy“ i cierpliwie znosić wszystkie nieuniknione klęski, ciągle smutki, wszystkie okropne fatalności, jakim podlegamy, Flaubert drażnił się niemi codziennie. Piękna jego powieść *L'Education sentimentale*, która jest jakby „protokołem“ nędzy ludzkiej, mieści w sobie głęboką i straszną gorycz.

Lecz nadewszystko w listach jego do kobiet, przyjaciółek lat dziecińczych, odnajdujemy te dźwięki smutne, te bolesne drgania.

Dla kobiet miał on przyjaźń czułą i ojcowską, traktował je po części jak dorosłe dzieci, niezdolne do pojęcia rzeczy wzniosłych, przed którymi jednak można wypowiedzieć wszystkie wewnętrzne dolegliwości, które nas ciągle w życiu spotykają.

Zdala od kobiet, Flaubert sądził je surowo, powtarzając zdanie Proudhona: *la femme est la désolation du juste*; lecz wobec nich poddawał się ich czarowi, lubił ich delikatność, powab i marzycielstwo. A chociaż gniewała go w nich ciągła myśl o miłości, namiętna jednak atmosfera, która je otacza, opanowywała go pomimowoli.

Oto urywki z listów: znać w nich i tę melancholię i ten rodzaj sentymentalnego rozczulenia, którym przejmowała go przyjaźń kobiety:

„Jak to? więc napisałem do Ciebie biedna, kochana przyjaciółko, list tak *rozdzierający*? Wszak zasługujesz, abym był z tobą szczerym? Oworzyłem ci więc serce moje i powiedziałem to, co mi się zdawało prawdą. Gdybym wiedział, że cię tem zasmucę, byłbym milczał.“

I dalej:

„Powiedziano mi, że jesteś chora. moja biedna przyjaciółko, i że fluksya zeszpeciła ci twarz. Ja jednak jako artysta, nie przypuszczam tego. Twoje ciągle cierpienia męczą mnie, drażnią, zasmucają. Jestem pewny, że strona moralna ma tu wielki wpływ; jesteś zbyt smutną, zbyt samotną. Nie jesteś dosyć kochaną. Ale na świecie nie ma nic dobrego. Życie jest stanowczo głupim wynalazkiem. Wszyscy znajdujemy się na pustyni, bo jeden drugiego nie rozumie.“

Albo jeszcze:

„Przyjacieli twój, jak zwykle, nie jest wesoły. Dla czego? Wszyscy przyjaciele znikli, ludzie głupi, pięćdziesiątka za pasem, samotność i trochę zmartwień: oto zapewne powody. Czytam rzeczy ciężkie; przyglądam się jak deszcz pada i prowadzę rozmowę z moim psem; potem nazajutrz toż samo, i następnego dnia znów toż samo.“

Skoro pragniesz wiadomości, co się u mnie w domu dzieje, to ci donoszę, że mój bałwan Emil został ojcem — ma syna. Ciekawą była jego radość, gdy mu żona dała ten podarek. Dawniej nie byłbym tego pojął. Dziś co innego. Urodziłem się z masą zalet i wad, których jednak w sobie nie rozwinałem i żałuję tego.

Jakaś ty szczęśliwa, że jesteś w Rzymie! Co za kraj! prawie zapominałem go. Ah! gdybym mógł przepędzić tam choć rok, jakby mnie to odświeżyło! Nie zaniedbaj częstych o ile można przechadzek po okolicy Rzymu, docierając aż do Ostyi...

Czy nie czujesz, kobieto rasy łacińskiej, że duchy konsulów radeby cię ucałować, gdy błądzisz wśród ich murów? Poznają one w tobie kobietę ze swej rasy. Urodziłaś się godną nosić suknię patrycyuszki, choć dzie boso w sandałach przywiązanych purpurowymi wstążkami a czoło zdobić wszystkimi klejnotami Baktryi...

Kiedyż wracasz? Szukałem tego w Twoim liście, lecz o powrocie nie nie mówisz. Zapewne nastąpi to po Wielkiej Nocy? Jakkolwiek nudzę się bez Ciebie, korzystaj jednak z czasu, i nie nie opuszczaj. Podróż niezupełna pozostawia zawsze żal, jeśli zaś kto ogląda prędko, to źle widzi.

A więc żegnam! bądź zdrowa. Baw się dobrze: otwieraj z całych sił twoje wielkie świeczniki i myśl o twoim starym.

G. F.

który cię kocha, *pomimo* literatury.

Nędzni my wyrobniecy! Czemuż odmówione nam jest to, co posiada każdy mieszczanin. On ma serce! A my, gdzie tam, nigdy w życiu! Co do mnie, powtarzam Ci jeszcze raz, że jestem *duszą* niezrozumianą, ostatnim okazem gryzетки, ostatnim żyjącym trubadurem starej rasy! Ale Ty nie chcesz mi wierzyć.“

I wszędzie, w innych listach, znajdujemy zdania w rodzaju następujących:

„Co do mnie, cóż chcesz, abym Ci powiedział moja przyjaciółko? Jestem człowiekiem ery upadku, ani chrześcianinem, ani stoikiem, i bynajmniej niestworzonym do walk życia...“

Dla czegoż nie jestem o nic nietroszczącym się, samolubnym, lekkomyślnym? Ciężar życia byłby mi lżejszym.“

A jego „nienawiść do głupoty“ zjawia się w każdym wierszu: przytacza ustępy, które przeczytał, oburza się, gniewa, lub chociaż rzadko, żartuje:

„Grano trzy razy *Damnation de Faust*, które za życia mego przyjaciela Berlioza nie miało żadnego powodzenia, a teraz publiczność, ten wieczny głupiec, który zwie się *światem*, uznaje, woła, krzyczy, że to

człowiek genialny. Swoją drogą przy danej sposobności powtórzy się toż samo...“

Jeśli listy Gustawa Flauberta będą kiedykolwiek ogłoszone, znajdą się tam ustępy cudowne. Między innymi, istnieją dwa filozoficzne, pisane do sławnego przyjaciela, p. Taine, które są może utworem najwspanialszym ze wszystkich jego dzieł.

Lecz co najgodniejszem było do zanotowania i zachowania zapomocą jakiego fonografu, który zapewne później wynajdą, — to jego rozmowy tak kunsztowne, w których głęboka znajomość ludzi zlewała się dziwnie z niezupełną nauką, a szczególna oryginalność myśli wyrażała się w zdaniach poważnych, w poglądach dziwnie pięknych, w gestach, w frazesach wystudowanych, z których płynęły wywody, obejmujące całe człowieczeństwo.

Gdy spoczywał martwy na łożu śmiertelnym, z oczami zamkniętymi i bezmyślnymi, przypominały się słowa Shopenhauera:

„Człowiek jest medalem, na jednej stronie nosi napis: „mniej niż nie“ a na drugiej: „całość w całości.“ „Ze śmiercią każdego człowieka znika świat, który on nosił w głowie; im rozumniejszą była ta głowa, tem bardziej świat ten jest odrębny, jasny, ważny, obszerny, o tyle też straszniejszym jest to zniknięcie.“

J. B.

WYKŁADY PUBLICZNE

I.

Wojciech Dzeduszycki o Sokratesie i Platonie.

Porzuciwszy wycieczki *à vol d'oiseau* nad całym obszarem dziejów filozofii, p. Dzeduszycki w tym roku zajął się specjalnie wykładem o dwu ojcach idealistycznej filozofii greckiej — Sokratesie i Platonie, którym poświęcił cztery wykłady. Prelegent obrał bardzo pojętną formę luźnej gawędy, w którą potrafił wlać dużo swobody i obrazowości. Uczyniwszy na wstępie akt skruchy za swoje przeszłoroczne grzechy prelekcyjne, p. Dzeduszycki powiedział, że zadaniem jego odczytów jest charakterystyka życia obu filozofów na tle epoki, w której powstał, przedstawienie ich nauki, oraz ocena jej ważności w rozwoju filozofii.

Z tego stanowiska wykłady p. D. pod pierwszym zaraz względem były dalekie od wytkniętego celu, a obraz stosunków, wśród których rozwinął się Sokrates i jego walka z Sofistami, przedstawiony był, jeżeli nie na wskroś fałszywie, to przynajmniej w wysokim stopniu jednostronnie. Autor, porwany gawędziarskim impetem, zacieśnił widownię powstawania greckiej retoryki i dyalektyki do takich rozmiarów, że nie posadzając go bynajmniej o grubą nieznajomość rozwoju cywilizacji helleńskiej, przypuszczamy raczej sprzeczność pomiędzy zamiarem a wykonaniem.

Słonność do kaznodziejstwa i rozprawiania, tak właściwa nawet pierwotnym grekom za czasów Homera, spotęgowana w życiu publicznym, w czynnych sporach na arenie politycznej, doskonale tłomaczy to obudzenie się ruchu umysłowego, które w wieku V przed Chrystusem wydało żywsze i różnorodniejsze prądy filozoficznego myślenia. Natura umysłu greckiego, jego giętkość, żywość i zamięłowanie do filozofowania sprawiły, że ruch ten umysłowy nie skupiał się, jak dzisiaj, w osobnych instytutach, w gabinetach uczonych, nie rozchodził się w formie piśmiennej, ale w fali żywego słowa rozlewał się obficie po ulicach i placach publicznych. Bardzo ciekawym byłby chociaż w ogólnych zarysach obraz umysłowego i społecznego ruchu

w Grecyi i żywe przedstawienie nurtujących go prądów; ale prelegent nie podjął wcale tego zadania. Z gawędy jego można by wnosić, że cały rozwój retoryki i dyalektyki greckiej był przyprawą biesiad ateńskich możnowładców; że sofisci i retorowie byli zgrają głodomorów lub pieczenieńców, tuczających się przy magnackim stole albo krzewicieli rozpusty, dworujących bogatym młodzikom. Cały sąd p. Dzierżyszyckiego o sofistach był przeciwny ostatnim obiektywnym badaniom filozoficznym, gdyż prelegent, idąc za utartą rutyną, wyrokuje o nich łącznie z pism najzawziętszego wroga, Platona, nie poddając krytyce opinii, nacechowanych widoczną stronnością i nienawiścią. P. D. nie umiał oddzielić szarlatanów i pajaców, wyprawiających ku ucieście możnych dyalektyczne koziołki, od uczonych, którzy fachowo traktowali nauczanie mądrości, od takich wreszcie mędrców, jak Gorgiasz, Protagoras i wielu innych, którzy stworzyli zastęp dyalektyków, komentujących cały zasób dotychczasowej wiedzy greckiej i zajmujących stanowisko negatywne wobec wszelkiego naukowego dogmatyzmu. Zamiast charakterystyki głębszej i bezstronnej sceptycyzmu Gorgiasza, albo też śmiałych teorii Protagorasa o względności poznania, prelegent przedstawił jako sztuczne kuglarstwo jego teorie, oparte na podmiotowym znaczeniu prawdziwości twierdzeń ludzkich. Nie wiemy doprawdy, skąd poczerpnął p. D. opinię o Prodikosie, któremu przypisywał głoszenie zasad przewrotnych, negujących całą moralność, drwiących z poczucia wszelkiego obowiązku w imię cynicznego użycia, skoro wiemy, że mędrzec ten w swym traktacie „Wybór Heraklesa“ podniósł bardzo wysoko pojęcia moralności społecznej, przedstawiając zwycięzką walkę młodzieńca między cnotą i rozkoszą, a potem, podobnie jak Sokrates, padł ofiarą oszczerstwa, skazany na karę śmierci. Gdyby Prodikos był tak jak Sokrates męczennikiem misji napół religijnej, możeby prawomysłna krytyka filozoficzna rzuciła wieńiec na jego pamięć; ale on należał do zastępu wolnomyślnych sceptyków, więc nawet po dwudziestu trzech wiekach pamięć jego spotwarza niesłuszną klątwą moralnej przewrotności. Nie dziwnego, że wskutek tak fałszywej charakterystyki Sofistów, walka Sokratesa z nimi przedstawiła się w odczycie błędnie i jednostronnie, jako smaganie kramarzy myślowego przekupstwa i wypędzanie ich z przybytku wiedzy. Prelegent jej charakterystykę wysnuł z kilku anegdot, zapożyczonych u Platona, zamiast sięgnąć głębiej i przedstawić w duchu najnowszych badań znaczenie działalności samorodnego mędrca, jako przedstawiciela reakcji wobec sceptycyzmu i materializmu jego przeciwników; jako reformatora, który opierał się na poglądach religijnych, teologicznych, negując prawie zupełnie potrzebę badań przyrodniczych i nauk ścisłych, których rozwojowi sprzyjała starsza atomistyka grecka. Z tego punktu widzenia Sokrates przedstawia się nam jako jeden z tych reformatorów, którzy wbrew prądom wolnomyślnym stawiają oczyszczone pojęcia teologiczne, krystalizujące się stopniowo w nowe systemata, tworzące nowe skamieniałości dogmatyki lub ideologii i tamujące przez wieki bieg niepodległej wiedzy badawczej. W charakterystyce Sokratesa autor zrazu rzucił także zbyt jaskrawe rysy anegdotyczne, które niekoniecznie godziły się z namaszczeniem apostołskim, cechującym całą jego działalność. Chociaż Sokrates był przeważnie mówcą ulicznym, ludowym, prelegent przedstawił początek jego filozoficznego zawodu w barwach zbyt komicznych, robiąc go przedewszystkiem bazarzem przy biesiadnym stole. Wbrew opiniom większości nowych krytyków filozoficznych, p. D. dla scharakteryzowania jego działalności opierał się na Platonie, nie zaś na Kseno-

fonie, obniżając niezupełnie krytyczne znaczenie pamiętników autora *Cyropedii* do wartości anegdotycznej, zewnętrznej, gdy tymczasem dają one wyraźną charakterystykę jego skierowania etycznego, jego poglądów na sprawę badania zjawisk przyrodniczych, jego zwrotu do poznania wewnętrznej natury człowieka, jego nareszcie praktycznego skierowania etyki, zachwalającej spełnianie obowiązków nakazanych przez prawo i poczucie obywatelskie. Odrzucając świadectwo Ksenofonta, który jednak daje treściwy program całej sokratesowej etyki, prelegent przedstawił nam powiększony obraz Sokratesa, ułożony z dyalogów Platona, który, jak wiadomo, kładł w usta swemu nauczycielowi własne pojęcia i teorie. Tym sposobem pomysły obu myślicieli spłynęły się w jedną chaotyczną całość, w której prawie znikły zarysy odrębności Platona a postać Sokratesa chociaż urosła co do rozmiarów, przedstawiła się jednak bardzo niewyraźnie. A jednak gdyby prelegent chciał być krytyczniejszym, mógłby łatwo oddzielić znaczenie obu mędrców według bardzo wyraźnej wskazówki Arystotelesa, który w *Metafizyce* (ks. XIII rozdz. I.), przyznaje Sokratesowi zasługę stworzenia własnej jemu metody wykładu „drogą naprowadzającą“ oraz „określenie znaczeń ogólnych.“ Biorąc pod uwagę to wyraźne określenie, możeby p. D. nie przypisał Sokratesowi pojęć o *ideach* będących własnością Platona, który poszedł znakomicie dalej niż Sokrates, nadając ogółowości znaczenie odrębne, metafizyczne po za szczegółowością i stwarzając całą sferę mityczną nadmysłowej zmysłowości. Widzimy z tego, że część wykładu p. D. naukowo-krytyczna była najslabszą i nie odpowiadała bynajmniej ani potrzebom przedmiotu ani wymaganiom, jakie sam sobie postawił. Przynać jednak należy, że cała charakterystyka filozofii platońskiej, z wyjątkiem drobnych szczegółów i potknięć oratorskiej weny, była najlepszą i prawdziwie cenną częścią wykładu.

Nie wdając się w streszczenie informacyjne tej charakterystyki powiemy tylko, że miała ona dwa ważne przymioty w wykładach filozoficznych, to jest była jasną, przystępną i zajmującą; że pod tym względem prelegent okazał rzadki dar dostrojenia się do potrzeb umysłowych słuchaczy, których umiał najłatwiejszą drogą przeprowadzić przez labirynt teorii i przysłów ideologicznych, rzucając od czasu do czasu barwne obrazy obyczajowe, z pomiędzy których najpiękniejszym było z Grote'a zaczerpnięte opowiadanie o śmierci Sokratesa, opromienionej wysokim męczeńskim urokiem. W ostatniej lekcji usłyszeliśmy wykład specjalnie przyznanych Platonowi pomysłów metafizycznych i politycznych, zawartych w jego traktatach: *Fizyce* (?) i *Rzeczypospolitej*, przyczem prelegent trafnie scharakteryzował niepraktyczny, utopiiny charakter dążeń społecznych genialnego idealisty.

Pozналиśmy wogóle z wykładów p. D. etyczne podniosłość nauki platońskiej, szerokość i wspaniałość jego pomysłów, opartych na złudnej, oderwanej od rzeczywistości abstrakcji. Jakże jednak miał znaczenie Sokrates w stosunku do rozwoju późniejszych szkół filozoficznych greckich, które wywodziły od niego początek; jaką rolę odegrała wogóle ideologia platońska w biegu umysłowości ludzkiej, na czem polegał długowiekowy wpływ jego pomysłów i jakie wywołał skutki — na te pytania prelegent nie dał nam żadnej odpowiedzi, chociaż najwyraźniej taką ocenę działalności obu mędrców w rozwoju myśli ludzkiej położył sobie za zadanie wykładu. Zamiast tego, usłyszeliśmy tylko na zakończenie małą deklamacyjną tyradkę, która była gołosłowną, wątpliwej wartości pochwałą idealizmu i jego wzniosłych dążeń a wyglądała jako *captatio benevolentiae* konserwatywnych słuchaczy, czujących

na szumne i patetyczne frazesy. Przyznając informacyjnej części wykładów p. D. prawdziwą użyteczność, podnosząc pomimo błędów wymowy jego talent gawędziarski, żalujemy jednak, że z ust jego publiczność nie dowiedziała się bynajmniej, co najnowsze niepodległe badania mówią o danym przedmiocie. Wielka to zaprawdę szkoda, że nasza publiczna katedra jest łóżyskiem, przez który w umysłowość naszą wylewa się zbyt obficie strumień galicyjskiej prawomysłności; potrzeba nam bowiem świeżego prądu wiedzy dzisiejszej, niepodległej, aby odświeżył naszą zaswieżoną atmosferę.

K.

II.

Odczyty przyrodnicze w Resursie Kupieckiej.

Resursa Kupiecka, a właściwie mówiąc, ci jej członkowie, którzy podjęli wydawnictwo mającego ukazać się w czerwcu na widok publiczny *Rocznika fizyograficznego* urządzili szereg odczytów z rozmaitych działów wiedzy przyrodniczej; więc też w już słyszanych i zapowiedzianych na przyszłość prelekcjach spotykamy pojedyncze rozdziały z meteorologii (dr. Jędrzejewicz z Płonska), fizyki (p. Dzierżyszycki), geologii (p. Kontkiewicz), zoologii (p. Słóarski), antropologii (dr. Dudrewicz), botaniki stosowanej (p. Jankowski), geografii matematycznej (p. Kramsztyk Stanisław) i chemii (p. Znatowicz).

Chętny i liczny udział publiczności w słuchaniu tych wykładów dowodzi istotnego zamięłowania wykształconego ogółu do nauk przyrodniczych; stosunkowo zaś późna ich data (bo serya bieżąca jest, o ile nam się zdaje, pierwszą w tym rodzaju) stwierdza tylko ten znany doskonale specjalistom fakt, że urządzenie przyrodniczego odczytu należy do bardzo, jeśli nie trudnych, to kłopotliwych przedsięwzięć. Gdy bowiem odczyt literacki lub historyczny wymaga tylko prelegenta i słuchaczy, to każde wstąpienie na katedrę przyrodnika pociąga za sobą konieczność urządzenia doświadczeń, przedstawienia okazów, o które u nas jest nad wszelki wyraz trudno. Pomimo że Warszawa jest miastem niemałym, nie posiada ona jednak wcale instytutów przyrodniczych, dostępnych dla ogółu; nie posiada zbiorów i przyrządów, któreby prelegentowi mogły służyć przy wykładzie; wynika więc z tego powodu nader trudne położenie, bo prelegent musi z jednej strony stosować się do posiadanych okazów i do nich treść swego przemówienia nagiąć, z drugiej zaś musi prywatnymi środkami stwarzać to, co gdzieindziej jest własnością bogatego społeczeństwa i starych, zasobnych instytutów. Z tego też względu jeśli pojedynczy odczyt przyrodniczy jest zdaniem do spełnienia niełatwym, to cały szereg takich lekcji można nazwać bez przesady wysiłkiem, który pieńicznie nie opłaci się nawet wtedy, gdyby sala była nieustannie przepełniona słuchaczami.

Jeśli pomyślimy i obliczymy, że klisze tych obrazów niknących, które na odczytach widzimy, są umyślnie w tym celu przygotowane; że przygotowanie ich polega na chętniej pomocy p. Karolego, który robi w tym celu na szkłe pozytywki; że każda kliszę musi jeszcze koloryzować ktoś, umieszczając nakładać na szkło farby przezroczyście, jeśli dodamy do tego cały szereg drobniactw i kłopotów, jakie każdy tego rodzaju odczyt pociąga za sobą — wówczas przytoczone powyżej słowa wcale nie wydadzą się nam przesadą.

Seryę tegoroczną rozpoczął dr. Jędrzejewicz wykazaniem znaczenia meteorologii w życiu praktycznym. Żalujemy, że okoliczności nie pozwoliły nam wysłuchać jego lekcji; sądząc jednak z tego, co o jego przemówieniu głoszą kompetentni, odczyt był i zajmujący i pożyteczny. Tego też mo-

zna się było spodziewać, gdyż znanem jest zamięłowanie dra Jędrzejewicza do nauk przyrodniczych. W ustroniu swem, w Płońsku, założył on obserwatorium astronomiczne, stację meteorologiczną, w której robione są już obserwacje. Ogłoszenie ich nastąpi w I-ym tomie *Rocznika fizyograficznego*.

Drugi wykład miał p. E. Dziewulski o lodzie i lodnikach ze stanowiska fizycznego. Treści jego odczytu powtarzać nie będziemy, nadmieniamy tylko, iż widzieliśmy na nim po raz pierwszy piękne i niestare doświadczenie angielskich uczonych nad zmianą punktu topliwości lodu pod wpływem ciśnienia, oraz usłyszeliśmy gruntowną krytykę o lodzie, mającym jakoby 120° ciepła, o czem pisma codzienne w swoim czasie obszerne, lecz często błędne i nie gruntowne podawały wzmianki.

Odczyt p. E. Dziewulskiego był przygotowaniem do trzeciego przemówienia p. St. Kontkiewicza, który dla wygłoszenia swej prelekcji przybył z Petersburga. Mówił on o epoce lodowców ze stanowiska geologicznego, a wziawszy za punkt wyjścia w swej lekcji głazy narzutowe w okolicach Warszawy, przechodził stopniowo coraz dalej, tak, że pod koniec godziny w umysłach słuchaczy utworzył się dokładny i kształtny obraz całej pięknej teorii epoki lodowców. Wypada tu jeszcze zaznaczyć i za zasługę p. Kontkiewiczowi policzyć to, iż gdzie tylko mógł, tam opierał się na faktach geologicznych, odnoszących się do ziem polskich, i że zarówno w wymowie, jak i w języku jego nie znać było ani śladu wpływu przebywania na obczyźnie.

B.

MALARSTWO I RZEŹBA.

II.

W przeciwnym rodzaju świetny talent ujawnił także p. Kurzawa w statuetkach rodzajowych z terracotty, przedstawiających w parach tanecznych *Poloneza* i *Mazura*. Para polonezowa to szlachcic wiał i brzuchacz, kroczący z dziewczą, ale jaką dziewczą! Sliczne to, skromne, anielskie stworzenie z wdziękiem lilij, prostotą i wabnością gołąbki, najcudniejszy kwiat staropolskiej niwy, oddany z całym jego urokiem. Para mazurkowa przedstawia jakiegoś Walka, hasającego z Jagną siarczyście a dziarsko. Jest ona może zbyt rubaszną, ale ma niezmiernie dużo ognia i ruchu. Obie te pary, w wysokim stopniu typowe, są nacechowane bardzo wybitną oryginalnością talentu, mają nawet ważne artystyczne znaczenie, gdyż należą do dzieł sztuki wcielających z powodzeniem pierwiastek rasowy i narodowy w dziedzinie rzeźby, która z natury swojej jest bardziej kosmopolityczną.

W ostatnich dniach Salon p. Ungra napelniał się nowościami, które zwiastują działalność obiecujących talentów. Z dawniejszych obrazów zasługuje tam na uwagę szczególnie słizne pieścidelko Bakalowicza *Poranek muzyczny*, przedstawiające królową francuską, jak się zdaje Maryę Leszczyńską, słuchającą śpiewu młodego pazurek. Jest to pyszne miniaturowe cacko, wykonane po mistrzowsku z elegancją i wdziękiem. Najważniejszym jednak zjawiskiem chwili jest duży obraz p. Mroczkowskiego *Kulig*, jeden z tych, co od razu zyskują sympatią widza. Przedmiot wprawdzie przypomina owe czasy, gdy „bawiono się na śmierć“ w przededniu skonanania Rzeczypospolitej, ale nie będziemy za ten wybór tematu robić wyrzutu artyście, który przedstawił obiektywną scenę obyczajową ze strony malowniczej, nie siląc się na fałszywe idelizowanie. Dom szlachecka wre

światłem i weselem. Blask setki świateł bije przez szyby, płacząc się z blaskiem księżyca. Przed gankiem rozochocony gospodarz otwiera kordyalnie ramiona na przyjęcie orszaku gości w pstrych kostiumach. Dziedzinec cały kipi ruchem i gwarem. Tu żydzi muzykanci witający gości wesołą fanfara, tam domownicy ciągną beczkę ze starym węgrynem, w dali bieleją dachy wsi pokryte śniegiem a na drodze migają jeszcze inne sanki kuligu. Postacie witających pełne werwy i życia, przyjezdne damy i kuligowicze widać zmarzli bo mniej mają energii. Scena prawdziwie godowa i malownicza, figury pana i pani domu są doskonałe, pełne humoru i charakteru. Kompozycja odznacza się bogactwem motywów i wielkim wdziękiem układu! Z pewnych słabszych szczegółów widać, że jest to praca talentu, który się świeżo wyrobił, ale w każdym razie zdobył się na niemałą już oryginalność. Głównym przymiotem obrazu jest wielki wdźwięk kolorytu, dobre oddanie tonów księżycowego mroku (chybione tylko trochę w szczegółach oddania), a nadewszystko, owo niedające się określić oryginalne żywe, ciepłe odczucie przedmiotu, które obrazy p. Mroczkowskiego każą nam zaliczyć do szczęśliwych plodów naszego pędzla.

Nowym zapaśnikiem na polu ilustratorskim okazał się p. Motty, którego szesnaście rysunków przedstawia przeważnie ponure fantastyczne sceny legendowe. Widzimy tu tedy szturmowanie duchów do drzwi klasztoru Bożogrobców w Gnieźnie, wywołanie cienia Barbary przez Twardowskiego, łowienie dyabelskiego dziwa w jeziorze krakowskim za Bolesława Wstydlwego, zjawienie się zmarłego ojca na uczcie hulającego syna, mszę odbywaną przez kościotrupów, rozbójnika Madeja w lesie oraz inne sceny podobnego charakteru. Nie wdajemy się w bliższą ocenę tych rysunków, pomiędzy którymi kilka wybitnie niepospolitym efektem i oryginalnością. Widać z nich, że autor posiada nie zaprzeczoną fantazję i pomysłowość, że umie każdy przedmiot przedstawić odrębnie, niepowtarzając się w motywach, nie wpadając w przesadną manierę celniejszych nawet ilustratorów. Oprócz szczególnych i oryginalnych pomysłów widzimy tu zalety umiejętnego grupowania tłumów, dobrą charakterystykę niektórych figur, a nadewszystko umiejętne wyzyskanie tła architektonicznego i efektów oświetlenia, które udają się p. M. bardzo dobrze. Niedojrzałość talentu okazuje się szczególnie w słabym traktowaniu motywów krajobrazowych a przedewszystkiem w niedostatecznej umiejętności rysunku, która w wielu figurach, zwłaszcza kobiecych, jest nawet rażąca. To pewna jednak, że autor umie przenosić widza w cudowną dziedzinę czarów i legend, umie wcielić te uludne sceny w plastykę najbardziej zbliżoną do prawdopodobieństwa, nie grzesząc zawiłą mglistością, właściwą wielu fantatom w sztuce i poezji, tak że możemy w nim powitać zdolnego bazarza ołówka.

Z pomiędzy portretów wyróżnia się p. Czachórskiego duży wizerunek pani G. w trzech czwartych częściach figury naturalnej wielkości, znajdujący się na wystawie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Układ osoby grzeszy z lewej strony zbyt równoległą linią w stosunku do ramy, co wywołuje pewną sztywność, ale twarz malowana pięknie, pełna wyrazu i podobieństwa, wypukli się na tle bardzo dobrze traktowanym, co łącznie z wytwornem malowaniem kostiumu nadaje tej pracy niemałą wartość.

Pan Wojciech Kossak, którego ładne botalinne obrazki podobają się swą werwą i zgrabnym rysunkiem, spróbował pomysłnie sił w dziedzinie portretowej i dał nam w naturalnej wielkości, w całej prawie figurze, wizerunek doktora Zyblikiewicza, znajdujący się na wystawie p. Krywulta. Twarz obecnego marszałka Galicyi

wydobywa się z tła portretu żywo i dobitnie. Jest to typowe mieszczańskie oblicze sangwiniczne, nacechowane inteligentnym sprytem, zapowiadające charakter przebiegły i bystry. Z tej twarzy nacechowanej wielkiem podobieństwem, trochę zabarwionej purpurą, nie odgadujesz szerokiego umysłu, ale czujesz, że ten człowiek bystro patrzy się w życie i jego praktyczne stosunki. Malowana ona szeroko, odznacza się wcale piękną karnacją, z wyjątkiem może tylko niedostatecznego zlania białych tonów z pół tonami różowo oliwkowymi. Kostium i akcesorya malowane śmiało, ale zbyt pobieżnie, zwłaszcza w niższej części figury; całość pełna charakteru zapowiada w p. Wojciechu Kossaku portrecistę lepszego pokroju.

Ciekawą jest także znajdująca się na tejże wystawie druga edycja *Maryny Mniszchówny*. Wyczalkowskiego, przedstawionej w zmnieszonych trochę zarysach, ale niedorównywiającej pod względem siły i charakterystyki dawniejszej, świetnej, pełnej charakteru postaci samowładnej carowej. Ruch Maryny na tym obrazie lepiej się tłumaczy, tło ma więcej harmonii i nie razi jaskrawizną kontrastu, aletwarz nie ma tej dzielnej charakterystyki, jest trochę mdła, gdyż artysta widocznie starał się dociągnąć ją do pewnego ogólnego tonu. Podobnie jak winnych ostatnich obrazach p. Wyczalkowskiego, znać tu niekorzystny wpływ zbyt realistycznego pojmowania jedności nastroju (*Stimmung*), co osłabiło energię jego talentu, który się tak świetnie i oryginalnie od razu zapowiedział.

Wcale oryginalnym jest rodzajowy obraz p. Piwnickiego *Bańki mydlane*, przedstawiający chłopca, wydymającego mydlaną bańkę pod nosem mości dobrodzieja, który zdrzemnął się po gawędzie z kieliszkiem. Twarz śpiącego bibosza jest bardzo typową, a całość pomimo pewnych usterek zaleca się bardzo śmiałą i szeroką techniką, wzorowaną, widocznie na starej szkole hollenderskiej.

Zalety kompozycji i przyjemnego tonu posiada p. Piwnickiego niewielki obrazek *Jęńcy*, przedstawiający tabor ludzi i bydła gnany przez oddział tatarów. Obraz ten dobrze prezentujący się zdaleka, na bliższą odległość razi malowaniem sztywnem, w którym widać dość pierwotne łamanie się z trudnościami pędzla.

LIBERUM VETO.

Prąd antirepublikański. — Teatralny Alfons i Don Carlos. — Atak karlistów z *Gazety Warszawskiej*. — Wierność i tęsknota za starym pompadurem. — Walka w łonie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci o prawo głosu. — Potrzeba uśmierzania tej walki nowym towarzystwem. — Ambasador literatury francuskiej w Petersburgu. — Warunki konwencji. — Ilustracje Andriollego do *Pana Tadeusza*. — Smutek i radość.

Podczas ubiegłego tygodnia prąd antirepublikański objawił się w naszej opinii publicznej tak wyraźnie, że każdemu chyba dał odczuć korzyść posiadania godności „naszego znanego“ zapewniającej mu miejsce w komitecie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci lub praw do tronu w teatrach warszawskich. Na tym ostatnim zasiadł, jak wiadomo, Alfons, który musi prowadzić nieprzerwaną wojnę z ukrytymi w górach pracy naszej stronnikami Don Carlosa. Otóż generał karlistów, dowodzący pułkiem *Gazety Warszawskiej*, zaopatrzony w nową broń, uderzył znowu na zajętą przez przeciwnika fortecę. Podobno był to napad w skutkach dość niewinny, nie poszczerbił murów, nie zabił nikogo, tylko kilku ludzi zranił. Zamiast jednak rozbić taktyczną i strategiczną stronę tej bi-

Warszawa, d. 6 maja.

tywy, wolę podziwiać ślepe, niewyczerpane przywiązanie owego karlisty do zdebronizowanego pana. Zaiste, rzadka to już dziś wierność nawet w rycerzach lepszej sprawy! Nowy władca teatrów warszawskich dał im konstytucję, powołał do udziału w prawodawstwie przedstawicieli różnych stanów, uwzględnił *vocem populi*, podczas gdy jego poprzednik krzychał, szwizując szpicrutą koło uszu obecnych członków Izby Wyższej, *l'état c'est moi* — a jednakże ma dziś „partye“, ma agitatorów, ma fanatycznych przyjaciół, którzy daliby się za niego porąbać i na rachunek tej gotowości odbierają ciągle guzy. Sam marszałek teatralnych karlistów przypomina mi bohaterkę drukującej się obecnie w odcinku *Prawdy* powiastki: jak Nadzieja Piotrowna, siedzi on ciągle załawiony przed portretem starego pompadura i wzdycha, odpierając nowe zaloty słowami: wszystko, co moje, do niego należy — tylko do niego... Nie zrywajmy tego mocno zaciśniętego węzła miłości, przynajmniej dopóki nowa dyrekcyja nie zburzy dowodami tej kupy piasku, którym jej — jak dowodzi *Kuryer Codzienny* — oczy zasypują.

Może jeszcze większą uciechę sprawia nam anti-republikański duch, jaki z kolumn tejże *Gazety Warszawskiej* powiał przeciwko stronnikom powszechnego głosowania w rodzącem się Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Obradujący nad niem mężowie zaufania publicznego (przeważnie bezdzietni) rozłamali się na dwa stronnictwa, z których jedno żąda prawa rostrzygania o losach tej przyszłej instytucji dla wszystkich jej członków, drugie — tylko dla członków komitetu. Jedni powiadają: każdy pan za swoje trzy ruble składki a czasem może lepiej się znać na rzeczy, niż rada komitetowa; drudzy zaś: radcowie są od tego, żeby radzili. Nie wyrokując w tym sporze, zauważę tylko, że on jest, co się zowie, naszym. Grupa ludzi łączy się dla utworzenia towarzystwa opieki nad dziećmi. Przypuścićby można, że skoro ich spoila wspólna myśl, posiadają oni zapewne tyle wspólnego, że drobne różnice zdań wyrównają na obradach i nie przeniosą kłótni na arenę dzienników. Byłoby to naturalnem wszędzie; ale u nas... — u nas — jak powiada z dumą wspomniany Zaleski — inaczej, inaczej... U nas założyciele muszą się naprzód powodzić w piśmach za czuby, zanim przystąpią do urzędowania projektu, pod którego kamień węgielny trzeba podłożyć dynamit niezgody, mający kiedyś wysadzić w powietrze mozolnie wzniesioną budowę. Nad to, koło czego kłótnia się owija? Koło zasady rozdawania urzędów. Jak dziećmi się opiekować — to później; naprzód, kto posiadzie godność tej opieki. Obawiając się, ażeby pożyteczna myśl nie skreśliła w tej rosterce karku, proponuję założenie towarzystwa opieki nad kłócącymi się członkami towarzystwa przyjaciół dzieci. Ale cóż będzie, gdy znowu powstanie kłótnia o urzędy?

Ciszej i zato szczęśliwiej dojechał podobno do portu dom schronienia dla nauczycielek, który — jak zapewnia reportery — ma już niedługo odwołać się do nakładców z prośbą o książki. Biedne więc, skołatanе burzami losów różbitki znajdują wreszcie przytułek. Niech im zastąpi rodzinę.

Dzięki jednorazowej galanterii warszawskiego członka stowarzyszenia literackiego w Paryżu, który za przekład jakiejś powiastki francuskiej zapłacił kilkanaście franków, nadewszystko dzięki jego umiejętnej reprezentacji interesów naszego piśmiennictwa na kongresach, zaznajamiającej Europę z ilością ogłoszeń *Kuryera Warszawskiego*, dostaliśmy... ambasadora literatury francuskiej w Petersburgu, p. E. Michelet, który ma strzedz praw autorskich i wydawniczych swych ziomek w obrębie państwa rosyjskiego. Nie dzi-

wiłbym się wcale, gdyby to zrobiło księstwo Monaco, ale Francya, zwłaszcza dziś, gdy potrzebuje ludzi do walki z krumirami — pojąć tego nie mogę! Ażeby p. Michelet nie nudził się bezsilnymi wobec braku konwencji protestami, radbym mu szczerze dać jakieś zajęcie. Mianowicie zobowiązuje się płacić mu za każdy przekład umówioną sumę, ale pod następującymi warunkami: szanowny ambasador przyrzeknie: 1) odzwyczaić arystokrację naszą od czytania książek francuskich i zachęcić ją do polskich; 2) wytłumaczyć szanownym filistrom, ich żonom i córkom, ażeby zamiast nakładów Plona lub Hachette'a kupowali wydawnictwa Gebetnera i Wolfa lub Polaka; 3) dokazać tego, żeby nasza młodzież szkolna mogła używać podręczników polskich; 4) wreszcie, ażeby śmiały nakładea warszawski mógł marzyć o sprzedaniu 1000 egzemplarzy książki tłumaczonej z francuskiego. Jeżeli p. Michelet warunkom tym zadość uczyni, nie pytając nawet moich ziomek o zgodę, podpiszę z nim „w imieniu całego kraju“ układ, mocą którego zobowiąże się do wynagrodzenia za przekłady autorów francuskich. Dopóki to nie nastąpi, radzić tylko można szan. ambasadorowi, ażeby w długich, wolnych od przestrzegania praw autorskich chwilach odeczytał sobie po polsku lub rosyjsku użyteczne dziełko W. Spasowicza o tych właśnie prawach. Poznawszy je, zrozumie nas łatwo.

O, tak panie Michelet, ciężko nam idzie, bardzo ciężko. Dość przejrzeć pierwszy zeszyt wspaniałego wydania *Pana Tadeusza* z ilustracyami. Nakładea, lwowski księgarz Richter, odwagę i dobre chęci miał, papier i czeionki godne złotych słów arcydzieła dał, ale ilustracye!... Cała sympatya n - sza dla Andriolego, szczerą chęć zalecania czytelnikom wydawnictwa nie zaslania nieudolności czy pospiechu w wykonaniu wizerunków. Niektóre dość szczęśliwe, ale zato inne wydzierają z piersi głębokie westchnienie.

W tem ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.

czytamy pod jedną ilustracyą, pytając w duszy: jak ów młodzieniec mógł znieść widok tego chudego widma, które już p. Andriollinieraz wywoływał w swych obrazkach do fantazyj Słowackiego? Doprawdy nie pojmuję, dla czego mechanicznie nastrojające się na ton pochwalny pisma nasze zbyt czynnem pobłażaniem pobudzają utalentowanego rysownika do zaniedbywania się. W ostatnich czasach wyskakują mu obficie z pod ołówka figury, w których jedynym znakiem życia są konwulsyjne skrety linii. Mniejsza o tę niesmaczną manierę w jakimś przygodnym obrazku, który przepłynie szybko z falą prasy peryodycznej; ale na kartach książki, która długo spoczywać będzie na stołach naszych, winny się odbić utwory trwalszego znaczenia. Z tego względu pierwszy zeszyt *Pana Tadeusza*, o ile zadawalnia najwybredniejszy smak całą zewnętrzną stroną wydawnictwa, o tyle nie zadawalnia nawet umiarkowanego — ilustracyami.

Od początku ubiegłego tygodnia głosy rozprożnych kwestii mieszają się z echemi rozpoczętych po długiej przerwie zabaw. Wezwania do składek na kurpiów, na pomnik Mickiewicza, a jednocześnie widowiska teatralne, zapowiedzi koncertów. Dobroczynność o wszystkich myśli, nawet rząd podobno ma zamiar wesprzeć niezamownych wystawców, wracających z niedoszłej wystawy moskiewskiej. Kto wie, czy i na nich nie przyjdzie urządzić koncertu lub loteryi fantowej!

Posel Prawdy.

Jaka cisza zapanowała na arenie politycznej, lub jak mizerne występują na niej fakta, dowodem szerokie zajęcie się prasy niedorzecznym pomysłem ks. Bismarcka przeniesienia stolicy Niemiec z Berlina do Kassel lub Spandau. Pomysł ten licuje wprawdzie z dziecinno-dyktatorskimi szusami kanclerza niemieckiego, który umie przenosić warsztaty rządowy do Warszawy, gdy mu przyjdzie ochota bawić na dłuższej majówce, i który gotów kiedyś kazać osiąść ministrom na Maderze, gdy mu będzie potrzeba klimatu tej wyspy; nie sądzimy jednak, aby jego zamiar zmiany stolicy był poważnym. Jest to jedno z tych przywidzeń zestarzałego i może rozstrojonego umysłu, które dziś — niestety — w życiu ks. Bismarcka zastępują miejsce dawnych genialnych rzutów.

Daremnie sprawa grecka i wojna w Tunisie usiłują odciągnąć uwagę Niemców od grymasów kanclerza. Co prawda, obie te kwestye niewielką posiadają siłę atrakcyjną. Zatarg Porty z Grecyą, przechodzący okresy *febris intermittens*, wyszedł znowu ze stadium gorączki: Porta udzieliła już mocarstwu odpowiedź na ostatnią notę, w której zgadza się na ustąpienie Grecyi ziem oznaczonych.

Co do wojny w Tunisie, nie nachodzą z jej widowni ważniejsze doniesienia; bądź skutkiem braku faktów, bądź skutkiem zatkania ust korespondentom. *Times* podał rotę zobowiązania, którą musieli podpisać wszyscy reporterzy przy armii a według którego wolno im donosić tylko, co za stosowne uzna władza wojskowa. Widocznie zatem owa władza nie uznała dotąd za stosowne ogłaszanie szczegółów wyprawy.

Zresztą, jak rzekliśmy, poważnych starć prawdopodobnie dotąd nie było, gdyż wojsko beja ogranicza się tylko na objawianiu protestu.

Kronika życia politycznego Rosyi nie zapisała również w ubiegłym tygodniu faktów wydatniejszych. Rząd jest ciągle jeszcze zajęty zmianami osób u swego steru. W ostatnich dniach naczelnik Zarządu Prasy Abaza ustąpił miejsca ks. Wiaziemskiemu. Dzienniki pożegnały go życzliwie, zaznaczając, że zawsze żywił i objawiał bardzo dobre chęci. Pogłoska przesunwa również świeżego ministra dóbr państwowych ks. Ignatiewa na inne stanowisko; wróżba jednak dotąd niesprawdzona. Tymczasem w rozmaitych prorocत्वach, których tu szczegółowo notować nie będziemy, prasa reakcyjna czerpie materiał do dzikich wykrzyków, pragnących niemal zapędzić państwo w przedrurykowe czasy. Takiego urągającego cywilizacji koncertu Europa dawno już nie słyszała. PP. Aksakow, Suworin, Katkow robią po prostu wrażenie ludzi kopalnych.

Obrady nad budżetem w austriackiej Radzie Państwa minister Dunajewski rozpoczął mową, która mu zjednała rzesisty poklask stronników autonomii w parlamencie i prasie. Nie widzimy w tej mowie tych cudów, których się dopatrują niektóre polskie dzienniki, przyznać jednak trzeba, że p. Dunajewski szczęśliwie uwzględnił zasługę Austrii w równouprawnianiu ludów jej berłu podległych.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Muzeum hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie, подарowane przezeń krajowi podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa w Galicyi, otwarte zostało w dniu 28 z. m., jako instytucya publiczna.

Literatura polska. P. Ludomir Szezerbowski-Wie-
czór wydał w Płocku broszurę p. t. *O skażeniu obecnem
języka polskiego w prasie.*

— Ukazał się pierwszy zeszyt *Pana Tadeusza* z ilu-
stracyami Andriollego.

— Pism Bolesława Prusa wyszedł tom pierwszy i za-
wiera powiastki: *Przygody Stasia, Antek, Powracająca
fala, Michalko, Sieroca dola.*

— P. Adolf Suligowski wydał broszurę p. t. *Z dzie-
dziny praw kobiety. O prawie asystencji męża.*

— *Słownika geograficznego* zeszyt XVII wyszedł
z pod prasy i obejmuje miejscowości od *Ekaterynosław*
do *Frampol*. Z ważniejszych artykułów zawiera: *Elbląg,
Ełk, Estonia, Essa, Ewersmujza, Ewiksza, Falenty, Fa-
tra, Fejmany, Felsatyn, Fersztynowo, Fijewo.*

— Pani Paulina Szumlańska wydała książkę p. t.
Skrajna gospodyni.

— Ks. I. Zieliński prof. Collegium Romanum w Pe-
łolinie wydał dziełko *O widzeniach i zachwyceniach,
przyrodzonych i nad przyrodzonych, i o rozpoznawaniu
takowych, z zastosowaniem do objawień w Gierzwałdzie.*

— Wyszedł świeżo z pod prasy podręcznik informa-
cyjny p. t. *Krynica, jej wody alkaliczno-żelaziste i c. k.
zakład zdrojowo-kompielowy.*

Literatura czeska. Ignacy Hermann wydał w Pra-
dze zbiorek poezyj p. t. *Humor Parnassu czeskiego.*

Dziennikarstwo zagraniczne. W Kołomyi, stolicy
Pokucia galicyjskiego zaczął wychodzić dwutygodnik
rusiński dla ludu, drukowany łacińskimi czcionkami,
p. t. *Switlo*. Celem wydawnictwa będzie pojeżdżanie
dwóch włośnionych sztuczna agitacją narodowości.

Konkurs. Petersburska Akademia nauk otrzymała
od znanego historyka rosyjskiego Kostomarowa, ma-
łorusina, kwotę 4,000 rs. w papierach publicznych,
która wraz z procentami za lat 10, przyznana być ma
autorowi najlepszemu słownika małorusko-rosyjskiego,
obejmującego język ludowy i książkowy małorusinów.
Termin nadsyłania rękopisów do akademii wyznaczony
na dzień 13 grudnia 1891 r. Nagrodzona praca wydana
będzie kosztem akademii.

Akademia. W Akademii nauk i umiejętności w Kra-
kowie odbyło się w dniu 3 b. m. doroczne posiedzenie
publiczne. Posiedzenie zagajonem zostało przez hr.
Alfreda Potockiego, następnie zabrał głos prezes aka-
demii dr. Mayer, poczem pr. Szujski odczytał sprawo-
zdanie z zeszłorocznej działalności krakowskiej insty-
tucyj naukowej. Sprawozdawca poświecił sympatyczne
wspomnienia zmarłym członkom akademii: ks. Fr. Ma-
linowskiemu oraz Aleksandrowi Tyszyńskiemu.

Z grona członków nadzwyczajnych straciła akademii
w roku ubiegłym: pośia Rydzowskiego, ks. Eugeniusza
Tupego, dra Krzyżanowskiego, ks. Wilczka i podskar-
biego akademii prof. Janikowskiego.

Po sprawozdaniu prezes Mayer odczytał rzecz p. t.
*O ludziach stuletnich w krajach polskich w związku
z trwaniem życia prawidłowem.*

W końcu dr. Szujski odczytał szereg konkursów na-
ukowych, ogłoszonych przez akademię w roku ubie-
głym. Na jednym z nich nagrodę otrzymał w r. z.
p. Hanusz za pracę o *Psalterzu Floryjańskim.*

Wystawa przyrodniczo-lekarska w Krakowie. W myśl
uchwały wydziału gospodarczego Zjazdu lekarzy i
przyrodników polskich, równocześnie z Zjazdem ma
mieć miejsce wystawa przedmiotów, mających stycz-
ność ze sztuką lekarską i naukami przyrodniczymi.

Celem wystawy jest przedstawić zebranym lekarzom
i przyrodnikom ruch naukowy na polu badań z prac
umiejętnych, środki naukowe pomocnicze w najnow-
szych czasach używane, tudzież co w galeziach prze-
mysłu i rękodzieł, najbliższych ich dotyczących, wyrabia
się w kraju, a zatem nie potrzebuje być sprowadzane
z zagranicy, jak są tych wyrobów zalety lub niedo-
statki i czego zgoła brakuje.

Przedmioty, kwalifikujące się do wzmiankowanej wy-
stawy, są następującego rodzaju:

I. Wystawa prac badawczych w okazach z zakre-
su nauk przyrodniczych, lekarskich i technologii, dla
wykazania ruchu naukowego, jaki się objawił w kraju
naszym w ostatnich latach (dział wyłączony od ubiega-
nia się o nagrody).

II. Środki naukowe pomocnicze, rzadkie lub pou-
czające okazy flory, fauny, rozmaitych pokładów, ska-
miellin, zwłaszcza cechujących fizyografie krajową, an-
tropologię i etnologię krajową, wyroby anatomiczne
i anatomo-patologiczne sztucznie przechowywane, zbior-
y preparatów drobnowidzowych, okazy przyrodnicze
wyroby anatomiczne sztuczne z różnych materyałów

(np. z masy papierowej, wosku, gipsu i t. p., a także
rzeźbione, galwanoplastyczne i t. d.). Nakoniec należą
tu okazy lub modele z zakresu techniki naukowej róż-
nych galezi umiejętności przyrodniczych i lekarskich,
hygieny i technologii.

III. Diagramy, kartogramy i mapy z zakresu demo-
grafii, fizyografii, statystyki zdrowotnej, higienicznej
i zdrojowej, plany szkół, łazienek, rzeźni, szpitalów,
rozmaitych zakładów dobroczynnych, higienicznych
urządzeń w fabrykach i pracowniach rękodzielniczych.
Drzeworyty, litografie czarne i barwiste, sztychy, foto-
grafie i inne sposoby odwzorowywania rysunkiem
przedmiotów mających związek z naukami lekarskimi
i przyrodniczymi. Dzieła ilustrowane i nie ilustrowane
polskie z dziedziny nauk przyrodniczych i lekarskich
w ostatnich 12-tu latach wydane.

IV. Przetwory chemiczne i okazy wyrobów che-
miczno-technologicznych, o ile mają związek z naukami
przyrodniczo-lekarskimi i rozwojem tej galezi przemys-
łu fabrycznego krajowego.

V. Okazy leków surowych krajowych i przetwo-
ry farmaceutyczne; wyroby aptekarskie fabryczne różne-
go rodzaju, jako to: czekolady lekarskie, kołaczki i t.
p. wyroby wchodzące w zakres tak zwanej „Pharma-
copea elegans“ i przemysłu aptekarskiego. Kosmetyki
wyrabiane na większe rozmiary, o ile skład ich znany
jest ciałom lekarskim i urzędowi zdrowia; wreszcie wy-
roby przemysłu zdrojowego, wody mineralne polskie,
ługi, sole i inne przetwory z takowych wyrabiane.

VI. Okazy pokarmów i napojów w stanie świeżym.
Porównawcze zestawienie ich sfałszowań, konserwy
pożywek. Środki dezinfekcyjne i odwanające i tym
podobne artykuły higieniczne; przyrządy gimnastyczne
i t. p.

VII. Narzędzia i przyrządy anatomiczne, chirurgi-
czne, opaski, narzędzia i przyrządy okulistyczne, po-
łożnicze i semiotyczne. Sztuczne zęby, oczy i członki,
przyrządy ortopedyczne, elektro-lekarskie, balneo-te-
chniczne, higieniczne (ścianki i t. p.), weterynaryjne,
chemiczne, fizyczne, optyczne, meteorologiczne i astro-
nomiczne. Zbiory tanie podręczne okazów przyrodni-
czych, mogących służyć do wykładów w zakładach
naukowych.

VIII. Przyrządy i materyały, służące do plegno-
wania i opatrywania chorych i rannych, przyrządy do
przenoszenia i przewożenia chorych; namioty, baraki,
wagony, wozy szpitalne i rozmaite przedmioty dotyczą-
ce wojskowej służby lekarskiej; wreszcie przyrządy
i materyały z zakresu ratownictwa publicznego (*sau-
vetage*).

IX. Niektóre inne przedmioty, które nie dały się
pomieścić w powyższych działach, a mające styczność
z naukami przyrodniczo-lekarskimi

Z uwagi, że komitet wystawy przyrodniczo-lekar-
skiej nie rozporządza żadnym na ten cel funduszem,
koszta przesyłek ponosić muszą właściciele przedmio-
tów nadsyłanych; komitet zaś ma niepionną nadzieję,
że wydatki te wrócą się nadsyłającym przemysłowcom
i rękodzielnikom w skutek zwiększonego odbytu, wy-
nikającego zazwyczaj z wystaw przemysłowych. PP.
przemysłowcy i rękodzielnicy mają nadto składać za
miejsce zajmowane przez wystawione przez nich przed-
mioty opłatę, której wysokość, o ile możności najniższa,
później zostanie ogłoszona.

Tylko takie przesyłki będą przyjęte na wystawę, któ-
re nadejdą do Krakowa przed dniem 10 lipca b. r.; po-
żądaniem jest jednak jaknajrychlejsze ich przesyłanie
w celu zamieszczenia przedmiotów w katalogu wysta-
wy. Adresować je należy franco: *Do Komitetu wystawy
przyrodniczo-lekarskiej w Sukiennicach w Krakowie.*

Wszelkie zaś zgłoszenia co do przedmiotów wysta-
wowych należy przysłać najdalej do 20 czerwca b. r.,
z oznaczeniem przestrzeni zając się mającej pod adre-
sem: *Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie.*

Kraków, d. 14 kwietnia 1881 r.

W imieniu komitetu wystawowego.

Sekretarz. Przewodniczący.
Dr. Schramm. Dr. Adryan Baraniecki.

Archeologia. W mieście Buccari, w Chorwacji, od-
kryto przeszło 30 rozlicznych rzymskich grobów. Roz-
kopywaniem i badaniem ich zajął się dyrektor chorwa-
ckiego muzeum p. Ljubicz. Wydobyto wiele nader cen-
nych zabytków, różne ozdoby brązowe i szklane, mo-
nety, urny i rozmaite sprzęty pogrobowe, które pomie-
szczono w muzeum zagrzebskim.

— W Kamieńcu Podolskim, przy rozkopywaniu fun-
damentów pod budowę gmachu domu miejskiego, zna-

leżono berło stalowe z rękojeścią złotą, które, sądząc
z znajdujących się na niem napisów, jest roboty styn-
nego rzeźbiarza Benwenuta Celliniego.

— We wsi Kluczewie, w powiecie Szamotulskim,
w Wielkiem księstwie Poznańskim, wykopano przed
niedawnym czasem parę urn gliniannych, kubek z usz-
kiem z gliny palonej, doniczkę z gliny czerwonej i dwa
dzbanki. Wszystkie te przedmioty odnoszą się zdają do
bardzo dalekiej przeszłości.

Teatr. Na scenie teatru małego wystawiono po raz
pierwszy pięcioaktową krotoczwilkę p. Samolińskiej p. t.
Trzy flory, i operetkę w jednym akcie z francuskiego
pp. Halevy i Busnach, z muzyką Offenbacha p. t. *Raj-
skie jabłuszko* (Pomme d'api). Na scenie zaś teatru roz-
maitości jednaktowy dramat W. Ochońskiego p. t. *Hel-
wia*. Na tejże scenie nową komedię Józefa Bliżńskiego
p. t. *Moskowskie swaty*.

— W Odeonie paryskim wystawiono nowy dramat
Franciszka Copée'go p. t. *Madame de Maintenon*.

Nekrologia. Stanisław Janikowski, profesor medy-
cyny sądowej i policyi lekarskiej na uniwersytecie Ja-
giellońskim zmarł w dniu 21 z. m.

— Dr. August Wannowski, jeden z najbardziej po-
ważanych pedagogów w W. Ks. Poznańskim, były
nauczyciel gimnazjum św. Maryi Magdaleny i jeden
z założycieli Towarzystwa pomocy naukowej, zmarł
w dniu 29 z. m. w Gdańsku.

— Emil Girardin, słynny publicysta francuski, umarł
w Paryżu w wieku lat 70. Obszerniejsze wspomnienie
poświęcimy zmarłemu w przyszłym numerze *Prawdy*.

OGŁOSZENIA.

KSIEGARNIA

EKSPEDYCJA PISM PERYODYCZNYCH, SKŁAD
NUT MUZYCZNYCH

oraz

MATERYAŁÓW PIŚMIENNYCH

JANA WOLFFA

W KOWNIE

przy ulicy Petersburskiej dom Pojarkowa
dawniej Rittlera.

Nowo otwarta d. 1 grudnia 1880 r., dostarcza po-
cenach warszawskich wszelkie dozwolone dzieła przez
Cenzurę Rządową, wychodzące w kraju i zagranicą
w rosyjskim, polskim, francuskim i niemieckim języku.
Posiadając na składzie wielki wybór materyałów piś-
miennych, poleca takowe po cenach stałych, stosunkowo
nadmierzająco tanio. Przyjmuje prenumeratę na wszelkie
pisma krajowe i zagraniczne oraz zamówienia z pro-
wincyi, w zakresie działalności księgarskiej wchodzące,
które skutecznie odwrotną pocztą. Wypisujący not.
lub książek naraz za rs. 5 kosztów przesyłki nie pono-
szą; przy księgarni znajduje się biblioteka, posiadająca
przeszło 1,000 tomów ostatnich powieści. 4—6

Zeszyt IV i V

kończące 1-szy tom

HISTORII FILOZOFII

Materyalistycznej

F. A. Lange'go,

opuścił prasę.

Wydawnictwo Bernarda Lesmana. Orla nr. 2.

Całe dzieło rs. 6.

2—2

Ponieważ powtórnie zakupiona, u wyda-
wcy ilość egzemplarzy *Historii filozofii ma-
teryalistycznej* Lange'go została przez pre-
numeratorów naszych rozkupioną, dzieła
tego więc po cenie niższej nie możemy
już odstępować nowoprzybywającym abo-
nentom naszym i prosimy, aby z zamówie-
niami zechcieli zgłaszać się do wydawcy
lub którejkolwiek z księgarni.